Nr 22
8. XII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Bogaty połów dorszy na Bałtyku

W DZISIEJSZYM NUMERZE: DR T. CIESZYNIAK — M. DĄBROWSKA — R. MATUSZEWSKI — S. POGORZELSKI W. SŁOBODNIK — A. THEN — J. WYSZOMIRSKI — ORAZ REPORTAŻ Z WYPRAWY NA SZCZYTY KILIMANDŻARO INŻ. WIKTORA OSTROWSKIEGO

O „PRZEWIETRZANIU" HISTORII

Nawiązuję do felietonu Jerzego Wyszomirskiego „Co z tym irracjonalizmem?" („Tydzień" Nr 6 z dn. 18.VIII. 1946). A raczej do jego pierwszej części. Nie mam bowiem zamiaru mówić o irracjonalizmie, lecz o naszym stosunku do historii Polski. Jakiś młody autor napisał rzecz pt. „Oduczmy się kłamać", w której wzywa do „wentylowania zakamarków naszej historii". J. Wyszomirski odpowiada mu słusznie, że nauki historyczne oddawna „przewietrzają bardzo surowo bieg naszych dziejów", i że większość ciemnych, spornych lub zakłamanych momentów historycznych została już należycie wyświetlona. Od siebie dodam, że nic nie stoi na przeszkodzie do prowadzenia tej pracy dalej. Jest ona też prowadzona. Idzie tylko o to, aby zarówno badania naukowe jak popularyzacja ich wyników kierowały się zamiłowaniem do możliwie obiektywnej prawdy, nie naginając tej prawdy zbyt karkołomnie do tzw. koniunktury i nie zawsze dobrze rozumianych potrzeb chwili, co właśnie teraz się dzieje. Tłumacząc bowiem i aprobując obecny „zakręt" historii, liczni publicyści popadają, aby tak powiedzieć, w odwrotne zakłamanie. Dotyczy to w szczególności problemu tzw. „ziem wschodnich", które Polska utraciła w wyniku ostatniej wojny. Ci, co uzasadniają w drukowanym słowie konieczność utraty owych ziem, nazbyt już spłycają i upraszczają proces dziejowy, w którego rezultacie ziemie owe znalazły się w obrębie dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, a nawet uwłaczają w związku z tym wielu nie zasługującym na potępienie momentom dziejowym. Ta gorliwość w odrzekaniu się od pewnych epok dziejowych jest niepotrzebna i nie może służyć żadnej słusznej sprawie. A najmniej przydać się może sprawie dobrych stosunków z Rosją Radziecką, tym bardziej zaś sprawie przyjaźni z tym naszym wielkim sąsiadem.

Otóż od półtora roku mniej więcej utarł się w pisaniu i mówieniu o tzw. ziemiach wschodnich pewien uproszczony schemat. Powiada on, że, wypierani przez Niemców, zrezygnowaliśmy pod koniec epoki piastowskiej z utrzymania się na zachodzie, natomiast rozwinęliśmy niesprawiedliwą agresję na wschód. W wyniku tej agresji owładnęliśmy wielkimi obszarami o ludności niepolskiej, wobec której stosowaliśmy politykę ciemięstwa.

Dla „pokrzepienia serc" polskich po utracie Wilna i Lwowa nie potrzeba czynić z dawnej Polski agresora, najezdnika i ciemięzcy, gdyż tym wszystkim nie była, na co wystawiały jej świadectwo różne narody aż do jej wrogów włącznie. Jak się więc rzeczy miały? Otóż jest niewątpliwą prawdą, że Niemcy wypierali nas od wieków z zachodu, zagarniając ziemie rdzennie słowiańskie. Traciliśmy je na skutek przemocy i ustępowaliśmy przed większą siłą albo chytrzejszą dyplomacją. Ale nie rezygnowaliśmy z tych ziem i zabiegaliśmy aby te ziemie odzyskać. Wystarczy przeczytać Wojciechowskiego: „Tysiąc lat zmagań z Niemcami", aby się dowiedzieć, że wszyscy prawie królowie i mężowie stanu Polski mocarstwowej aż do początków jej upadku mieli oko zwrócone na Śląsk i Pomorze i wciąż czynili starania, aby — jeśli nie orężem, to przynajmniej w dyplomatyczny sposób — wpływy polskie na tych ziemiach umacniać, coś z tych ziem od wroga wytargować. Oczywiście, były popełniane i kardynalne błędy, jak w sprawie Prus Książęcych, były zaniedbania, przeoczenia itp. Ale kto wie, czy jedynym okresem rezygnacji z tych ziem nie był okres Polski między dwiema ostatnimi wojnami światowymi. A i to była rezygnacja z konieczności, jak zwykle w sprawach granic. Boć przecie mocarstwa zwycięskie kongresu wersalskiego nie dopuszczały nawet myśli o rozszerzeniu naszych granic zachodnich, ba, kwestionowały nawet Gdańsk. Kto byłby jednak ciekaw, jak dalece myśl o tych ziemiach zaprzątała świadomość narodową nawet w okresie nieistnienia państwa polskiego, niech zajrzy do czasopism choćby z drugiej połowy zeszłego wieku. Znajdzie w nich sporo prac naukowych, ilustracji, artykułów „propagandowych" o Budziszynie, Łużycach, Nysie, Dolnym Śląsku i Pomorzu. Także i czasu tej wojny hasło odzyskania tych ziem nie urodziło się w styczniu 1945 roku, lecz istniało już we wrześniu 1939, a także w hasłach walczącej Polski podziemnej. Inną stroną zagadnienia jest, że nie bylibyśmy w stanie hasła tego zrealizować bez zwycięstwa Rosji nad Niemcami.

Z drugiej strony sprawy wschodnie interesowały Polskę wcale nie tylko w związku z wypieraniem nas z zachodu. Przecie Bolesław Chrobry bywał nie tylko nad Nysą i za Nysą, ale i w Kijowie. Rzecz w tym, że Polska, zarówno piastowska jak jagiellońska była, a przynajmniej bywała, potężnym ośrodkiem dyspozycyjnym w Europie środkowej i miewała momenty, w których zdolna była brać w swoje ręce normowanie stosunków na bardzo wielkich obszarach i na zachodzie i na wschodzie. Dlatego, żeśmy takim ośrodkiem być przestali i że inne państwa weszły w tę rolę, nie mamy ani powodu ani prawa tej dawnej swojej roli się wstydzić, ani ją zacierać czy też bezcześcić. Wystarczy powiedzieć, że teraz rola Polski jest inna, i dowieść, że ta inna rola może być nie mniej lub nawet więcej wartościowa.

Nie ulega wątpliwości, że w przesunięciu się wagi życia mocarstwowego na wschód za Jagiellonów odegrały rolę nasze straty na zachodzie. Nie wyłączną jednak i nie decydującą. A już w żaden sposób nie uczyniły nas one agresorami. Straty osłabiają raczej instynkt agresji, który w Polsce i tak był słaby. Kiedy Polska zawierała unię z Litwą — państwem zdobywczym była wówczas Litwa, która, sama stanowiąc małe obszarem księstwo, zagarnęła i podporządkowała sobie wielkie obszary Białorusi i Rusi. Okoliczność, która to umożliwiła a także moralnie poniekąd Litwę rozgrzeszała, było niebezpieczeństwo hord pieczeniegskich, połowieckich, a wreszcie tatarskich. Ich najścia spustoszyły i doprowadziły, jak wiadomo, do upadku sławne niegdyś i wysoce kulturalne Wielkie Księstwo Kijowskie, czyniąc je tym samym łatwą zdobyczą. Agresywną była ówczesna Litwa również w stosunku do Polski. Nie zapominajmy, że Jagiełło, zanim ożenił się z Jadwigą i został królem polskim, łupił Lublin i zapuszczał się aż po Kielce. Polska zawarła z Litwą unię, aby zabezpieczyć się przed jej ciągłymi napaściami, które może nie groziły zaborem, ale były dla kraju wyniszczające. Niesnaskom sąsiedzkim unia przeciwstawiła płodną ideę skierowania zjednoczonych sił na najstraszniejszego wroga — Krzyżaków. O geniuszu politycznym obu krajów świadczy, że oba zrozumiały ówczesną wartość takiej unii. Jeśli idea unii — jak to wykazuje m. in. prof. Kolankowski — w końcu zawiodła i Polaków i Litwinów, jeśli przeniesienie w jej wyniku wagi spraw państwowych na wschód okazało się w rezultacie zgubne, nie wystarcza to do pomawiania Polski jagiellońskiej o jakąś bezmyślną, ciemięską, chciwą agresję.

Ruś i Białoruś, nie przeczuwające jeszcze wtedy możliwości agresji Niemców na siebie (nie grożącej póki osłaniał je wał potężnej Polski), mogły mieć z owej unii tylko tę korzyść, że zjednoczone siły polsko-litewskie dawały im nadzieję na paraliżowanie agresji tatarskiej (w czym zacząłek późniejszej Polski, „przedmurza Europy"). I wspólne próby wielkiej akcji przeciw ordzie były wszak w nieszczęśliwej, na miarę Grunwaldu pomyślanej, bitwie nad Worsklą, gdzie zginął też kwiat rycerstwa polskiego.

Jako przykład niesprawiedliwej agresji polskiej wysuwa się często unię lubelską, zawartą za Zygmunta Augusta. Aktem tym ziemie ruskie oderwane zostały od W. Księstwa Litewskiego i przyłączone bezpośrednio do Korony Polskiej. Znawcy jednak źródeł historycznych wiedzą, a ogół społeczeństwa wiedzieć powinien, że szlachta ruska — jedyna warstwa czynna wówczas dziejowo — domagała się na drodze mnóstwa petycyj i wszelkiego rodzaju starań dyplomatycznych odłączenia ziem ruskich od Litwy i przyłączenia ich do Polski. Świadectwa o tym podają nawet najbardziej antypolscy historycy ukraińscy, Hruszewski i Lipiński. Nie dla czego innego, a dlatego właśnie omal nie doszło w Lublinie do zerwania unii, gdyż panowie litewscy nie chcieli się zgodzić na odłączenie od Litwy ziem ruskich.

Co sprawiało, że Rusini woleli wówczas być raczej z Polską niż z Litwą? I czy Polska miała jakieś moralne wartości, uprawniające ją do wykonania tego pokojowego „zaboru"? Niewątpliwie tak. Litwa była jeszcze wtedy państwem o ustroju autokratycznym i surowych obyczajach politycznych. Polska zaś ówczesna była krajem wielkiej wolności obywatelskiej (ograniczonej naturalnie klasowymi pojęciami owego czasu), a także krajem wielkiej pociągającej kultury. Obywatelstwo Rzeczypospolitej Polskiej było w XVI wieku rzeczą zaszczytną, cenioną i nęcącą dla wielu cudzoziemców i wielu je też chętnie przyjmowało. Kultura polska, ściślej mówiąc kultura łacińska poprzez polską, promieniowała samorzutnie na wschód bardzo silnie i długo. Była prawdziwą Polski mocarstwowością jeszcze wtedy, gdy mocarstwowość polityczna zaczęła upadać. Dość powiedzieć, że jeszcze w wieku XVIII i w wiele czasu po odpadnięciu Ukrainy lewobrzeżnej, kultura polska i łacińska krzewiła się w tej Ukrainie. Z rosyjskich też źródeł wiemy, że carowie moskiewscy XVII w. posiadali biblioteki polsko-łacińskie, a ówcześni bojarowie moskiewscy sprowadzali dla kształcenia swych dzieci albo Polaków albo Ukraińców prawobrzeżnych o polsko-łacińskiej kulturze. Nie umniejsza to wcale wszystkich naszych błędów popełnionych przez dopuszczenie do nadmiernego rozrostu „na kresach" magnackich „królewiąt" i przez ucisk społeczny ruskiej ludności pracującej, ucisk pospolity zresztą wtedy we wszystkich prawie krajach. „Agresją" jednak ówczesnej Polski była nadewszystko pokojowa i samorzutna ekspansja jej potęgi kulturalnej. Tak było, i tego nie należy ani się zapierać ani wstydzić.

Późniejsza polityka kościoła, unia brzeska, wojny wschodnie Batorego i nasza parokrotna bytność w Moskwie naruszają jak gdyby ten wartościowy aspekt naszych czasów dawnej wielkości. Lecz i te rzeczy wymagają znacznie wnikliwszego prześwietlenia historyków, które kiedyś, gdy atmosfera afektów zniknie, zostanie napewno przeprowadzone sine ira et studio przez oba narody: polski i rosyjski. W każdym razie, i co do wyżej wymienionych faktów, zrozumieć spokojnie winniśmy zarówno w Polsce jak w Rosji, że w owych to właśnie czasach powstawało nowe mocarstwo europejskie — Rosja, przygotowujące się do roli nowego na miejsce Polski ośrodka dyspozycji na wielkich obszarach środkowej Europy. I że dla ówczesnej Polski zagrożonej od tylu stron zjawisko to musiało wydawać się groźne i musiało rodzić konflikty. I groźnym się też okazało jak tego dowiodły rozbiory Polski. Nie tylko Polska lecz i Rosja nie wpadła wówczas bynajmniej na ideę braterstwa słowiańskiego przeciw agresji niemieckiej. Braterstwa były całkiem inne.

Wszystko to minęło. Dziś Polska nie jest mocarstwem ani politycznym ani kulturalnym, i musi swą nową wielkość budować na innych podstawach i z innych pierwiastków spotężnionego za to o warstwy ludowe geniuszu narodowego. Ale dla dobra tej budowy nie jest wcale potrzebne szerzenie nowych koniunkturalnych zakłamań historycznych. Ani podżeganie w nas kompleksu niższości przez wpajanie przekonania, że w Polsce jagiellońskiej wszystko było złe i błędne, a tylko Polska piastowska była Polską właściwą. Tym, co nadto już biczują nasze dzieje, należy postawić za przykład właśnie Rosję Radziecką, gdzie na miejsce totalnej krytyki przeszłości postawiono już dawno kult wielkich z rosyjskiego punktu widzenia momentów i postaci, jak: Iwan Groźny, Piotr Wielki, wojna z Napoleonem, Suworow, Kutuzow i tym podobnie. A w kulcie tym nie gra przecież roli to, czy owe momenty i postacie były przyjemne lub nie dla zaprzyjaźnionego dziś sąsiada, Polski.

Te wszystkie uwagi nie pragną bynajmniej obniżyć podnoszonego w obecnej chwili znaczenia Polski piastowskiej. Jest faktem niezwykle pomyślnym, że wskutek sprzyjających temu okoliczności zasnuta nieco cieniem epoka piastowska nabiera dziś znaczenia. Było ono w samej rzeczy ogromne i pozostawało długo niedocenione.

Maria Dąbrowska

Na stronie 7-ej dr. T. Cieszyniak opisuje wartość słynnego tryptyku Wita Stwosza, który jest ponownie ustawiany w kościele Mariackim.

Poniżej: wypukłorzeźba ze skrzydeł tryptyku, przedstawiająca dziesięcioletniego Chrystusa w świątyni, z podobiznami: na lewo u góry Kallimacha, na prawo Zbigniewa Oleśnickiego, u dołu Heydeka.



LOSY NIEMIEC

Niezależnie od toczących się obrad Organizacji Narodów Zjednoczonych — ministrowie spraw zagranicznych czterech mocarstw (ZSRR, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji) przeprowadzać będą wstępne rozmowy na temat opracowania traktatu pokojowego z Niemcami. Do przedłożenia na piśmie swoich punktów widzenia na losy Niemiec i kwestie traktatu zaproszonych zostało dwanaście państw: Polska, Czechosłowacja, Belgia, Holandia, Luksemburg, Dania, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i Unia Południowo-Afrykańska. Wszystkie te referaty stanowić będą przyczynki do skomplikowanego problemu rozwiązania losów Niemiec. Będą one jednocześnie stanowić łatwo zrozumiałą rozmaitość i dużą rozpiętość w projektach ukształtowania tych losów.

Oczywiście, pewien wzór stanowić będzie traktat wersalski. Ale wzór raczej odstraszający, aniżeli godzien naśladowania. Każdy traktat zresztą teoretycznie może być idealny. O jego doskonałości i trwałości stanowić może tylko praktyczne zastosowanie klauzul traktatowych. Traktat wersalski tym był niedoskonały, że wychodząc z idealnego założenia, że każdy naród powinien żyć we własnym państwie, pozostawił zbyt wiele ognisk zapalnych w różnych punktach Europy. Takie punkty zapalne istniały nie tylko w Trieście i w Gdańsku, czy w Kłajpedzie, ale również w Austrii, w Czechosłowacji i w Polsce. Niektóre z tych ognisk przestały po pewnym czasie dymić, inne płonęły żywym ogniem aż do wybuchu nowej wojny, której można było uniknąć, gdyby stan, stworzony traktatem wersalskim poparty był czynnikiem siły. Szczególnie dotkliwie stan ten dawał się odczuwać na wschód od Niemiec, gdzie stworzono szereg większych i mniejszych organizmów państwowych i pozostawiono je własnemu losowi.

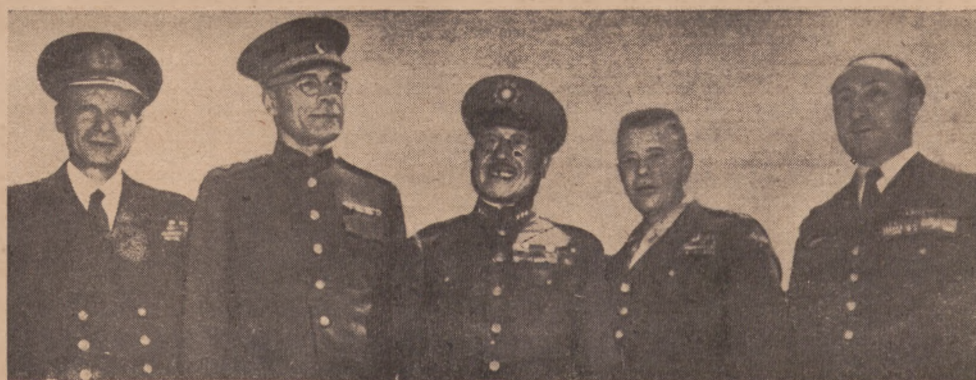
Nie ulega wątpliwości, że po opadnięciu fali wojennej i po rozstrzygnięciach plebiscytowych, Polska, nawet ówczesna Polska, wszedłszy na drogę pracy pokojowej mogła się stać czynnikiem stabilizacji pokoju na wschodzie Europy i w ogólnej organizacji pokoju europejskiego mogła stanowić pozytywną budowlę, gdyby cały system nie był stale podważany przez ustępstwa na rzecz Niemiec ze strony mocarstw zachodnich.

Oczywiście, pod innymi rządami, mniej obciążonymi dziedzicznymi spadkami całkowitej negacji w stosunku do każdej Rosji, stosunki z naszym wschodnim sąsiadem, zajętym po pierwszym zrywie rewolucyjnym pokojową budową ustroju winny były ulec poprawie, a tym samym można było osiągnąć lepszą stabilizację pokoju na wschód od Niemiec.

Zło tkwiło zatem mniej w samej karcie traktatu wersalskiego, a więcej w jego praktycznym zastosowaniu, a raczej w jego niestosowaniu. Począwszy od r. 1924 rozpoczął się nieprzerwany okres ustępstw ze strony Francji i Anglii na rzecz Niemiec, przy czym inni sygnatariusze traktatu nawet nie byli pytani, czy się na te ustępstwa zgadzają. Kolejno rezygnowano ze stosowania różnych klauzul traktatu, inne omijali i łamali sami Niemcy, aż wreszcie przestali się w ogóle liczyć z traktatami. Niektórzy sygnatariusze traktatu pomagali nawet Niemcom czynnie w tej walce. Na ich czele kroczyły Włochy, nie dość zaspokojone wojennym łupem.

Ale traktat wersalski niósł gorsze zło, mimowolnie zresztą. Wprowadzając szlachetną zasadę, iż każdy naród powinien żyć we własnym państwie, rozbudził nacjonalizmy i partykularyzmy. A na pożywce nacjonalizmu wyrósł właśnie faszyzm.

Unikając praktycznych błędów traktatu wersalskiego, nowy traktat z Niemcami powinien w pierwszym rzędzie stworzyć takie warunki życia narodu niemieckiego, które nie zezwalałyby mu na przygotowanie nowej wojny. Dokonane przez Międzysojuszniczą Komisję Wojskową w Berlinie zniesienie armii niemieckiej powinno stanowić jedną z klauzul traktatu.



Sztab Komisji Wojskowej Organizacji Narodów Zjednoczonych stanowią przedstawiciele pięciu mocarstw. Od lewej: admirał Henry Moore (W. Brytania), gen. pułk. Wasiliew (Z.S.R.R.), gen. Shang Chen (Chiny), gen. Kenney (U.S.A.) i szef lotnictwa marszałek Valin (Francja). (Leader)

Następnym krokiem winna być demilitaryzacja, czyli zniszczenie urządzeń wojskowych, twierdz, linii rzekomo obronnych, a w gruncie rzeczy służących do bezpiecznej koncentracji wielkich armii napastniczych. Odprzemysłowienie Niemiec miałoby zniszczyć wszystkie fabryki, służące celom wojny. Wreszcie demokratyzacja narodu niemieckiego miałaby wyrwać z jego duszy wszystkie instynkty wojownicze.

Setka innych podobnych klauzul złożyłaby się na traktat rzeczywiście idealny. Bądźmy przekonani, że takie klauzule rzeczywiście znajdą się w traktacie z Niemcami, jednocześnie jednak bądźmy przekonani, że nie one stanowić będą o tym, czy Niemcy podejmą za lat 25 nową wojnę. Miarodajną będzie nie karta traktatu ale jego praktyczne zastosowanie. A praktycznie Niemcy powinny pozostać jak najdłużej pod okupacją, aby zagwarantować przeprowadzenie procesu demokratyzacji. Na to trzeba co najmniej całego pokolenia. Może dopiero to pokolenie niemieckie, które rodzi się dziś, pod okupacją, wolne będzie od bakcyla wojennego.

Nie wiadomo jeszcze, czy Niemcy zostaną jednolitym państwem, jakim je pozostawił Hitler, czy wrócą do dawnej formy, rozbite na szereg krajów i krajików, czy też wreszcie stworzą jakąś nową federację. Istnieją w tym kierunku pewne dążenia, zwłaszcza w strefie okupacyjnej angielskiej i amerykańskiej. Dążenia te idą w kierunku scalenia mniejszych krajów w większe organizmy państwowe w ramach sfederowanych Niemiec. Nie wiadomo również, czy będzie istniał w tych warunkach jakiś centralny rząd niemiecki, który będzie upoważniony do podpisania traktatu, czy też traktat podpisywać będą przedstawiciele poszczególnych krajów niemieckich.

Oczywiście, dla wszystkich sąsiadów Niemiec idealnym rozwiązaniem byłoby rozbicie Niemiec na poszczególne kraje, gorszym federacja niemiecka, a najgorszym jednolite Niemcy pod jednym rządem. Gdyby w dodatku stolicą zjednoczonych Niemiec miał nadal pozostać Berlin nimo zbyt bliskiego położenia od granicy Polski, to ów przyszły rząd niemiecki przesiąknięty będzie duchem pruskim, dominującym w Berlinie, pełnym pamiątek chwały pruskiej i wspomnień o Fryderykach i Wilhelmach.

W dziedzinie demilitaryzacji i odprzemysłowienia minął już pierwszy zapał mocarstw anglo-saskich. Wprawdzie Zagłębie Saary ma być przyznane Francji, stanowi to bowiem gospodarczą jedność z Lotaryngią, ale w sprawie stworzenia z Nadrenii państwa buforowego i umiędzynarodowienia Zagłębia Ruhry mocarstwa anglo-saskie zajmują stanowisko negatywne. Nadreński arsenał miałby przeto pozostać przy Niemcach. **Tym silniej musi Polska bronić Śląska, aby wschodni arsenał przestał służyć Niemcom.**

Mowa stuttgarcka Byrnesa i Bevina zdają się utwierdzać w przekonaniu, że odprzemysłowienie Niemiec nie będzie przeprowadzone na proponowaną początkowo skalę. Koszta okupacji Niemiec są dla Stanów Zjednoczonych i dla Wielkiej Brytanii znacznym ciężarem i mocarstwa anglo-saskie zamierzają je pokryć eksportem niemieckim nawet tych działów produkcji niemieckiej, która służyła i potencjonalnie zawsze może służyć celom wojennym. Wobec takiego stanu rzeczy w zachodnich strefach okupacyjnych odmiennie przedstawia się sprawa w strefie wschodniej, pozostającej pod okupacją wojskową sowiecką. Wszystko przemawia za tym, że tylko w tej strefie proces demokratyzacji, demilitaryzacji i odprzemysłowienia przeprowadzany jest z całą konsekwencją, choć w myśl pierwotnych założeń i umów powinien być tak samo konsekwentnie przeprowadzany na obszarze całych Niemiec.

Ten przykład wskazuje najdowodniej, że miarodajnym dla przyszłego pokoju Europy i świata będzie nie najidealniejszy traktat, narzucony Niemcom, ale jego praktyczne zastosowanie. Różnice w stosowaniu pierwotnego planu obserwujemy już dziś, podobnie, jak już dziś jesteśmy świadkami podważania poprzednich umów w sprawie nowych granic niemieckich. I w tym właśnie kryje się największe niebezpieczeństwo. W tym tkwi już zarodek zła, jakie tkwiło również w praktycznym niestosowaniu surowych klauzul traktatu wersalskiego.

Aleksander Then

KARNY NARÓD

Wybory samorządowe w Niemczech, przeprowadzone w bliskich terminach we wszystkich strefach okupacyjnych, przyniosły zwycięstwo czterem głównym stronnictwom: partii socjal - demokratycznej, Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, partii demokratyczno-liberalnej i Socjalistycznej Partii Jedności.

Wyniki wyborów ujawniają dwie prawdy. Pierwsza — to karność społeczeństwa niemieckiego, które umie się w sposób doskonały przystosowywać do sytuacji. Gdy w Trzeciej Rzeszy rządził Hitler Niemcy karnie oddawali głosy na kandydatów narodowo - socjalistycznych. Gdy Hitler przegrał wojnę i Niemcom kazano stać się demokratami — ruszyli gremialnie do urn, by złożyć głosy na stronnictwa demokratyczne. Przy tym wszystkim w poszczególnych strefach okupacyjnych oddawano głosy na te partie, które są popierane przez władze okupacyjne. Więc w strefie brytyjskiej głównie na socjalistów, w amerykańskiej na Unię Chrześcijańsko-Demokratyczną, w sowieckiej na Socjalistyczną Partię Jedności. Wiadomo: pokorne cielę dwie matki ssie.

Wreszcie jeszcze jedno spostrzeżenie: naród niemiecki jest w swej masie rewizjonistyczny. Przed wojną głosował za Hitlerem, który dążył do rewizji wersalskich granic Niemiec, obecnie głosuje za socjalistą Schumacherem i chrześcijańskim demokratą Kaiserem, którzy rewizję granic z Polską użyli za hasło wyborcze.

RELIGIANTYZM

Ksiądz doktor, który potępił mój artykuł o Majdanku, ogłoszony w Nr 13 „Tygodnia", dlatego że chciałbym w imię pogodzić różne wyznania w imię jednego Boga i jednej miłości wszechludzkiej, choć zdaję sobie sprawę, że jest to cel chyba nieosiągalny; ksiądz doktór, który moje stanowisko „filozofującego chrześcijanina" określił jako „dziwoląg religijny" i „naukową (sic!) bzdurę"; ksiądz doktor, który powiada, że nie zna wyrazów: „religiant" i „religiantyzm", aczkolwiek oznaczają one obłudę, świętoszkostwo, dewocję czyli fałszywą, pozorną, na pokaz religijność, połączona z nietolerancją — ksiądz doktór ze swym brutalnym tonem (por. „Tydzień" Nr 21) wydał mi się zjawiskiem groźnym, zwłaszcza w dzisiejszych czasach rozprzężenia moralnego i upadku wielu wartości, gdy religia i jej kapłani, kościół i jego sługi stanąćby mogli wobec szczytnych zadań umoralniania ludzi, uzdrawiania ich ducha. Śmiem sądzić, że ksiądz doktor nie stanowi ujemnego wyjątku w szeregach duchowieństwa; że takich jak on jest jeszcze dużo, i dlatego tylko z listu jego pozwoliłem sobie zrobić sprawę publiczną. Czy taki list mógłby mię nawrócić lub opamiętać, gdybym był zbłąkany? Zamiast mi łagodnie wytłumaczyć mój rzekomy błąd, zamiast mię wyrozumiale pouczyć i mądrze oświecić, ksiądz doktór poprostu prawi mi grubijaństwa. Od kogo jak od kogo, ale od kapłana, od człowieka, który winien być simplex servus Dei, innego sposobu przemawiania trzeba się spodziewać. A jeżeli ksiądz doktor i jemu podobni takim samym tonem, jak do mnie, przemawiają z kazalnicy do wiernych? Czy mogą liczyć na posłuch i szacunek?

Zdaje się, że księża bardzo często lekceważą w ogóle poziom umysłowy i sferę uczuciową swych owieczek. Toteż nieraz nie trafiają do ich serc i umysłów. Nie umieją użyć argumentów uczuciowych i rozumowych, traktują masę wyznawców istotnie jak owieczki, które — jak wiadomo — mogą być albo wełniste, albo głupie, albo parszywe. Być może, ja w mniemaniu księdza do ktora jestem owcą parszywą. Wszelako nie chcę być owcą głupią i pragnąłbym naprawdę wiedzieć, czy „filozofujący chrześcijanin" — to „bzdura", a tolerancja czy jest „dziwolągiem". Kto mi to mądrze i spokojnie wyjaśni?

List księdza doktora, jak wszelkie uwagi, które czytam lub słyszę o sobie, pobudził mię do refleksji i do skontrolowania samego siebie. Zabrałem się do wertowania niektórych rzeczy, które od czasu do czasu cytuję, np. do Ewangelii, do Listów św. Pawła, do „Filozofii religii" — protestanta wprawdzie — ale szlachetnego i głębokiego myśliciela — Haralda Höffdinga. Przypadkiem też natrafiłem na świeżo wydaną broszurę ks. dr Józefa Pastuszki, profesora katol. uniw. lubelskiego, pt. „Psychologiczne źródła niewiary". Jej tytuł podniecił mię. Może rzeczywiście „bzdury" i „dziwolągi", które wypisałem, wypływają, mimo mej świadomości, z jakiegoś we mnie — jakby powiedział Słowacki — „pęknięcia serca"? Zacząłem czytać zapamiętale broszurę ks. Pastuszki i zaraz na stronicy szóstej natknąłem się na taki sąd o tzw. „duchu czasu" (to coś dla mnie!).

„Historia zna epoki, których duch czasu był silnie przepojony pierwiastkami religijnymi, jak np. IV stulecie po Chr. Znamię religijne nosiło na sobie także średniowiecze chrześcijańskie, kiedy i urządzenia społeczne, i życie publiczne, i prądy umysłowo-kulturalne harmonizowały z ideologią Kościoła Katolickiego, i kiedy prawdy religijne nie nasuwały wątpliwości".

Przecieram oczy. Czytam raz jeszcze. I jeszcze raz. W imię Ojca i Syna. Gdybym był moim księdzem doktorem, tożbym dopiero powiedział: oto mi dziwoląg, oto najcięższego kalibru bzdura naukowa. Więc w średniowieczu całe życie harmonizowało z ideologią Kościoła? W średniowieczu prawdy religijne nie nasuwały wątpliwości? Przecie to była burzliwa epoka, która przygotowywała stopniowo reformację. Nigdy się tak nie pleniło kacerstwo i sekciarstwo, jak w średniowieczu. Chyba w carskiej Rosji albo w Stanach Zjednoczonych. Gdybym chciał tylko wyliczyć na chybił-trafił wszystkie średniowieczne odszczepieństwa od Kościoła — owych ubogich z Lionu, arnoldystów, braci apostolskich, begardów, wiklefitów, lolardów, husytów, taborytów, katarów, albigensów, waldensów, flagellantów (biczowników-taneczników), adamitów, donatystów, manichejczyków, humiliantów... Przecie średniowiecze — to wyprawy krzyżowe przeciw albigensom i obrócenie w perzynę południowej Francji; to — spalenie na stosie wielkiego mistrza templariuszów; to — początki inkwizycji. I to ma być „harmonia"? To znaczy, że prawdy religijne nie nasuwały wątpliwości? A procesy czarownic, a demonologia średniowieczna? Nie. Jeśli mój ksiądz doktor ma mnie za owcę parszywą, to widocznie ks. dr. Pastuszka — jako duszpasterz — ma swoje owieczki za całkiem głupie i naiwne. Jak może takie herezje wypisywać profesor uniwersytetu! Oczywista, że broszurę jego zamknąłem na szóstej stronicy i, nie czytając dalej, gotów ją jestem przesłać memu księdzu doktorowi. Tak więc mamy dwa rodzaje argumentów: argumenty uczuciowe mego księdza doktora i argumenty rozumowe ks. Pastuszki. Na takich argumentach niedaleko się zajedzie.

Natomiast, gdy się czyta piękny tom laika i klerka Höffdinga, można się przekonać i do religii i do chrześcijaństwa. Taka ewolucja może się dokonać nawet ze zbłąkaną owieczką, która nosi w sobie „psychologiczne źródła niewiary". Wielki tom Höffdinga, pełen łagodnych, spokojnych i mądrych rozważań, kończy się rozdziałem pt. „Chrystianizm pierwotny i współczesny". Wyjmijmy z niego taką np. uwagę: „Z Nowego Testamentu, jak w ogóle ze wszystkich dzieł ducha, bierzemy to, co możemy zużytkować w naszym gospodarstwie duchowym. Znajdujemy tu myśli, nastroje i wzory, które wciąż będą towarzyszyły rodzajowi ludzkiemu w jego drodze... Zadanie etyczne polega na rozwoju i zharmonizowaniu życia ludzkiego, zarówno jednostkowego jak społecznego. To zadanie stawiali już Grecy. Chrystianizm umożliwił pogłębienie tego zadania... Nie dość na tem: do pierwiastka greckiego i chrześcijańskiego przybywa jeszcze jeden: nauka doświadczalna ostatnich stuleci i cała nowa kultura ideowa i materialna... Stosunek religii do etyki układa się prosto: religia jest wiarą w zachowanie wartości, etyka zaś bada zasady, według których dokonywa się odnajdywanie i wytwarzanie wartości". Może się mylę, ale mi się wydaje, że tak właśnie myśli „filozofujący chrześcijanin", nie „religiant", czego mój ksiądz doktor nie rozumie. To jest owa „harmonia", o której wzmiankowałem w poprzednim felietonie, ale nie „harmonia", jakby ją pojmował ks. prof. Pastuszka. Obydwaj księża wytwarzają raczej dysharmonię.

Jerzy Wyszomirski

Zniszczenia wojenne
i problem mieszkaniowy

(Wrażenia z Anglii)

ZNISZCZENIA W LONDYNIE

Jedno z najczęstszych pytań w Polsce, dotyczących Anglii, to pytanie o stan zniszczeń wojennych: „Czy Londyn naprawdę bardzo zniszczony?". Odpowiedź trudna. Trudno mówić o wielkim zniszczeniu miasta, w którym dziewięć dziesiątych domów wygląda w tej chwili jak nie tknięte. Trudno mówić o zniszczeniu małym — w mieście, gdzie milion ludzi zostało bez dachu nad głową.

Ale rozstrzyga oczywiście proporcja. Londyn z przedmieściami ma dziś podobno około 11 milionów mieszkańców i 10 milionów nieposzkodowanych mogło bez trudu udzielić azylu milionowi dotkniętych klęską wojny. Poza tym 11 milionów ludzi wyposażonych we wszelkie środki techniczne uprzątnęło bez większego trudu ruiny zburzonych i spalonych domostw jednej jedenastej ogółu mieszkańców i dziś miejsca, w których stały zniszczone budynki, oczyszczone z ruin i obramowane niziutkim murkiem z cegły, wyglądają, — o ile nie zdradzają ich ślady malowanych wnętrz i tapet na szczytowych ścianach domów sąsiednich, — jak niezabudowane parcele.

BOMBARDOWANIE I URBANISTYKA

Nasi gospodarze zaraz pierwszego dnia pobytu naszego w Londynie w programie wycieczki umieścili zwiedzanie portu i dzielnic najbardziej dotkniętych przez bombardowanie. Należą do nich w pierwszym rzędzie części miasta, położone blisko portu nad Tamizą, co jest zrozumiałe, co jednakże w skutku spowodowało szkody w dzielnicach najuboższych, robotniczych jak East-End i jemu podobne.

Po drodze do tych dzielnic, przyjmując za punkt wyjścia ruchliwe i reprezentacyjne centrum, znajduje się ocalała wielka katedra Świętego Pawła, której całe otoczenie jest zburzone w sposób, mogący uchodzić za... niezwykle szczęśliwe urbanistyczne rozwiązanie problemu perspektywy na ten monumentalny budynek.

Jako mieszkańcy kraju, w którym powstał BOS, wiemy coś niecoś o stosunku urbanistów do zniszczeń. Urbaniści — nie bez powodu zresztą — potrafią martwić się, że w Warszawie ocalał dom na Obożnej, zasłaniający perspektywę Teatru Polskiego... W Londynie jednak nie tylko „urbaniści z przekonania" muszą przyznać, że pewne „rozrzedzenie" zabudowy i trochę wolnych placów wyszło miastu pod tym względem na dobre.

KWESTIA MIESZKANIOWA

Czyni to oczywiście, w stopniu tym bardziej palącym, pilną sprawę budownictwa mieszkaniowego, aktualną nie tylko dziś, ale i przed wojną.

Przy zachowawczym i niechętnie do reform usposobionym systemie angielskim, problem mieszkaniowy stał się jednym z tych, które w przebiegu walki o sprawiedliwe rozwiązanie nierówności między ludźmi przybrały formy najbardziej drastyczne. Znane są wypadki okupowania przez bezdomną ludność robotniczą tzw. „slumsów" (ruder w najbiedniejszych



Widok na katedrę Św. Pawła z terenu gmachu redakcji „Daily Telegraph".

dzielnicach miasta) — opuszczonych pałaców angielskiej arystokracji, których bezużyteczny luksus wyprowadził z równowagi nawet spokojnych Anglosasów.

Demonstracje bezdomnych, akcja bardziej postępowych odłamów opinii publicznej i klęska bombardowań zmusza dziś rząd brytyjski do wzmożonych wysiłków w zakresie budownictwa mieszkaniowego. Plan rządu przewiduje zbudowanie do końca roku ok. 100 tysięcy małych domków jednorodzinnych tzw. „prefabricated houses", które, podobne do naszych „fińskich domków", powstają obecnie w całej Anglii, w tempie niestety o wiele za powolnym w stosunku do gwałtownych, palących potrzeb. Przyczyną tego jest brak materiałów budowlanych i brak rąk roboczych do pracy. Wydaje się to może trochę dziwne, zważywszy skróconą do minimum i ściśle przestrzeganą długość dnia roboczego oraz wobec curiosum, jakie stanowi — w kraju, gdzie wszędzie odczuwa się brak rąk do pracy — istnienie kilkusettysięcznej armii bezrobotnych — jednakże jest to faktem.

ROZWIĄZANIE?

W tym kraju, gdzie szereg urządzeń publicznych działa, uregulowanych jak w zegarku — wszelkie rozbicie ustalonego przez nawyk i tradycję schematu jest niemal nie do przeprowadzenia.

Trudnym zagadnieniem jest przesunięcie człowieka z jednego warsztatu pracy do drugiego, co jest zrozumiałe, zważywszy na stopień specjalizacji przeciętnego pracownika przy wysoko zindustrializowanym systemie produkcji. Jest tu zagadnieniem także przerzucenie człowieka z miejsca na miejsce. Pokazując nam „prefabricated houses" w pobliżu londyńskich doków, Anglicy podkreślali, że jedną z podstawowych zasad przy przydzielaniu ich ludności jest fakt zamieszkiwania w danej dzielnicy. Anglicy nie lubią być ruszani z miejsca, a choć może pod tym względem nie różnią się specjalnie od ludzi innych narodowości, to przecież stwierdzić trzeba, że uznawanie świętej słuszności ich przyzwyczajeń nawet w obliczu palących kwestii społecznych, wydaje się dziś nam, którzyśmy przeszli pod tym względem tak dotkliwą życiową lekcję — czymś zgoła osobliwym i możliwym tylko na brytyjskiej wyspie.

„PREFABRICATED HOUSES".

„Prefabricated houses" mają w Anglii wielkie powodzenie. Realizują one ideał domostwa przeciętnego Anglika: są jednorodzinne, niezależne, można przy nich mieć ogródek i być u siebie. Wyglądają za to jak zabawki dla lalek i są gwarantowane tylko na dziesięć lat.

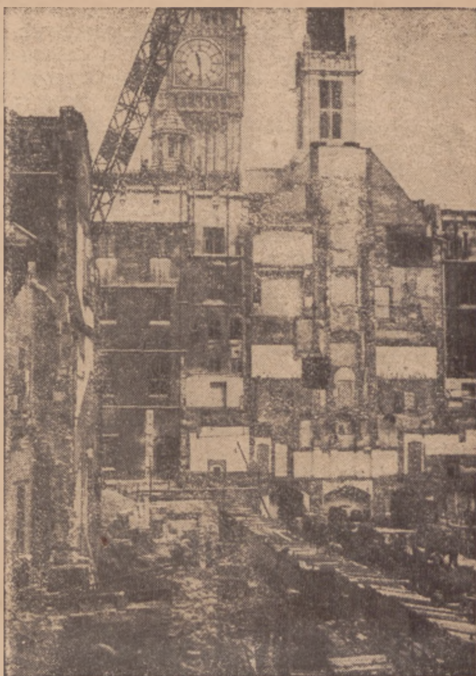
Widzieliśmy całą wielką kolonię takich domków na przedmieściu Leeds. Jest coś zastanawiającego i aż doprawdy melancholijnego w narzucającym się zestawieniu kruchości tych konstrukcji anno 1946 i solidnej, masywnej budowy tego, co pozostawiły w Anglii pokolenia poprzedników. Ciemne bryły piaskowca, z którego powstały gmachy z czasów królowej Wiktorii i cienkie, metalowe ścianki domków, wyglądających jak domki z kart — trudno zaprzeczyć, że ma to swoją wymowę.

Stara Anglia — należy do przeszłości. Nowa — powstaje narazie w trudnych i niesprzyjających warunkach.

KOSZTOWNE DARY WUJA SAMA

„Prefabricated houses" powstają, jak wspomnieliśmy, w tempie powolnym, 3—4 tysięcy miesięcznie, i jest w Anglii tajemnicą publiczną, że plan ich budowy nie będzie wykonany w całości.

W Leeds pokazywano nam dwa typy domów mieszkalnych, produkowanych



Gmach angielskiego Parlamentu w Londynie

ostatnio: angielskie — czteromieszkaniowe z płyt betonowych i amerykańskie, cztery razy mniejsze, zaznaczając, że cena jednych i drugich (około 1100 funtów) jest niemal jednakowa.

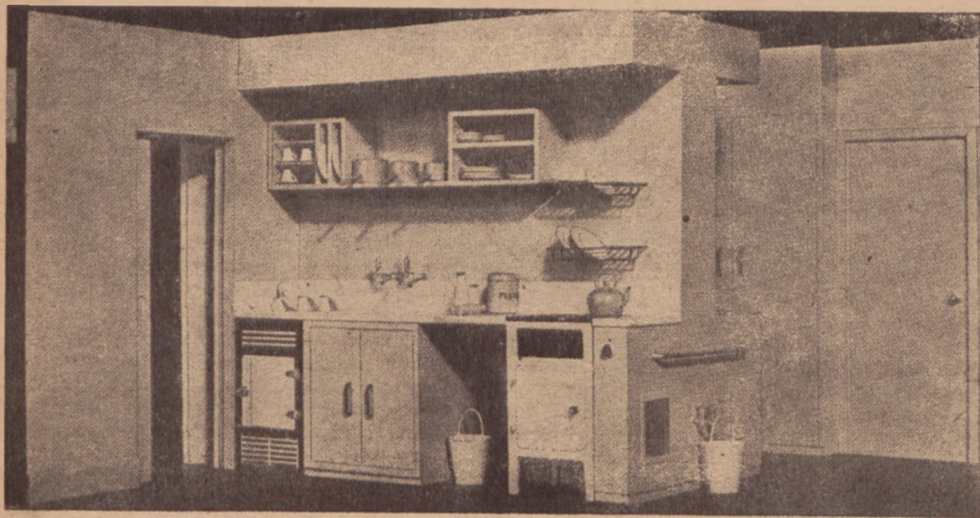
Pokazywał nam to sympatyczny przewodnik, inteligentny labourzysta, nie bez przekąsu i podkreślania paradoksalności sytuacji. Oczywiście narzucało się wprost pytanie, co zmusza Anglików do korzystania w tym wypadku z kosztownej amerykańskiej pomocy. Odpowiedź brzmiała oględnie, była odpowiedzią dla cudzoziemskich dziennikarzy. Wyjaśniono nam, że chodzi o pośpiech. Pośpiech i to, co Anglicy uważają w tym wypadku za „nóż na gardle".

Nie kwestionując pilności potrzeb mieszkaniowych Wielkiej Brytanii (choć trudno przypuszczać, aby, przy zestawieniu ich i naszych zniszczeń, oraz ich i naszej stopy życiowej, były one pilniejsze od naszych), moglibyśmy oczywiście mieć zastrzeżenia zarówno co do udzielonego nam wyjaśnienia jak i co do samego systemu rozwiązania zagadnienia, malującego w jaskrawy sposób, w jakim kierunku idzie wysiłek dobrodziejów angielskiej klasy robotniczej. Na tle drobnego przykładu angielskich i amerykańskich domków na przedmieściu Leeds, stają się zrozumiałymi motywy demontracji 72 posłów Labour Party podczas ostatnich debat w Parlamencie przeciwko polityce rządu własnego stronnictwa.

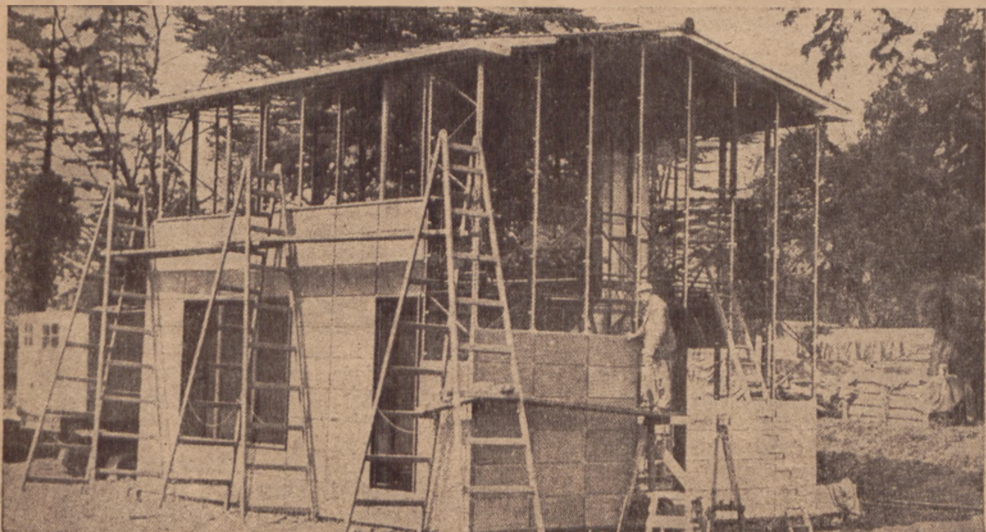
Tylko, że demonstracje okazały się tylko demonstracjami a system uszczęśliwiania Anglików domkami na 10 lat, kupionymi u Amerykanów za drogie pieniądze, nie będzie zapewne na razie zmieniony.

Ryszard Matuszewski

Wzorowe urządzenie wnętrza nowoczesnych domków.



Budowa eksperymentalnego domku mieszkalnego w okolicach Coventry.



SPÓŁDZIELCZOŚĆ W GOSPODARCE NARODOWEJ

Nawiązując do sprawozdania z posiedzenia Rady Nadzorczej „Społem", umieszczonego w Nr 21 „Tygodnia" — podajemy ciekawe tezy z referatu dyr. A. Rapackiego pt. „Miejsce spółdzielczości w gospodarce narodowej"

„Stawiamy zagadnienie spółdzielczości jako konsekwentnego zespołu gospodarczego i organizacyjnego w konkretnej rzeczywistości, jaka jest, a raczej staje się" — mówił referent. Ta konkretność celów i środków cechowała przesłanki i wnioski referatu.

Spółdzielczość w nowym ustroju demokratycznym Polski znalazła nowe fundamenty działania. Ten nowy ustrój wytycza rolę spółdzielczości, którą referent ujmuje w tezę: „Między społecznym państwem i wolnym człowiekiem — dobrowolne współdziałanie". Teza ta odrzuca zasadę wszechwładzy państwa i utrąca samowolę jednostki przez zasadę uspołecznienia dobrowolnego. Stąd wypływa wielkiej wagi wniosek, że spółdzielczość winna spełnić zadanie powiązania jednostki z państwem.

Drugim założeniem ideologicznym wysuniętym przez referenta jest, „że spółdzielczość jest uspołecznioną gospodarką pracujących dla zaspokojenia ich codziennych potrzeb". To sformułowanie „odziera spółdzielczość z nadnaturalnych uzdolnień, jakie przypisywało jej chętnie wielu pankooperatystów".

Obrazując rzeczywistość dzisiejszą, określaną jako „gospodarkę mieszaną" (państwowa, spółdzielcza i prywatna) referent omówił stosunek spółdzielczości do państwa i do inicjatywy prywatnej. Państwo jest odcinkiem nadrzędnym, nie może w nim dominować ani psychologia kierownika spółdzielni, ani psychologia urzędnika. Ustawa z dnia 3 stycznia b.r. precyzuje rolę państwa w naszej gospodarce w sposób właściwy.

Inicjatywa prywatna jest faktem i spółdzielczość się z nią liczy. Spółdzielczość może tylko i powinna narzucić kupiectwu warunki pracy i kalkulacji. Z chwilą dokonania tego, spółdzielczość nie rozporządza środkami ekonomicznymi rugowania kupiectwa prywatnego.

W zagadnieniu wsi — referent podkreślił zasadę jednolitej struktury organizacyjnej spółdzielczości dla wsi. Nie godzi się jednak na zbyt szybkie i radykalne zmiany, narzucone z góry, póki Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej nie okrzepną i nie nabiorą doświadczenia. Ważniejszym znacznie jest szybka rozbudowa sieci spółdzielczej, koniecznej do osiągnięcia zwycięstwa nad „spadochroniarzami handlowymi", wprowadzającymi chaos w skupie produktów rolnych i w zaopatrzeniu wsi.

Jednolitość spółdzielczości na wsi ma również znaczenie polityczne — jest nią jedność robotniczo-chłopska, która nakazuje powiązanie wsi z miastem, a sprzeciwia się wysuwanemu niekiedy żądaniu tworzenia oddzielnego bloku spółdzielczego dla wsi, w postulacie tym bowiem tkwi zarodek przeciwieństwa, walki i w konsekwencji — chaosu gospodarczego.

Referent stawia pytanie — czym ma być „Społem"? Związkiem Spółdzielni czy centralnym aparatem odcinka spółdzielczego? Czy handlować ze spółdzielniami czy planowo organizować cały odcinek gospodarski? Konstytucja gospodarcza, jaką jest ustawa o nacjonalizacji, wskazuje rolę „Społem". Nie jest ono aparatem również ze względu na swoją treść społeczną. Aby ta treść była pełna, trzeba: 1) samorządu i 2) wychowania pracowników.

Tezy wypływające z referatu nie były dyskutowane. Jak stwierdził jeden z członków Rady, wymagają one gruntownego przestudiowania. Zgodnie z uchwałą, ich rozpatrzeniem zajmie się Prezydium Rady łącznie z przedstawicielami okręgów i zarządem „Społem".

ZBLIŻAJĄ SIĘ ŚWIĘTA — RYBKI NA STÓŁ



Udany połów

Ryby dorsze! —wykrzykują przekupnie w Warszawie. W restauracji w Poznaniu jadłem „filet z sandacza", oczywiście był to po prostu autentyczny dorsz, sprzedawany wszakże pod słodkowodną etykietą kilkakrotnie drożej. Podobnie rzecz ma się często ze „szczupakiem w galarecie", nie mówiąc o puszkowanych „skumbriach", „byczkach" itd., itd.

W głębi kraju, we wszystkich większych ośrodkach miejskich, posiadających dobre połączenia komunikacyjne z Wybrzeżem, uderza dziś postronnego obserwatora obfitość ryb morskich. Ale mało kto zdaje sobie sprawę z tego, skąd się one na naszym rynku biorą i kto je łowi. Osobiście spotkałem się wielokrotnie ze zdaniem, że ryb tych dostarcza UNRRA, i że z końcem roku bieżącego wraz z zakończeniem unrrowskich dostaw znikną z półek sklepowych i straganów ryby morskie i ich przetwory.

A tymczasem właśnie w sierpniu ilość polskich motorowych kutrów rybackich przekroczyła setkę, powoli, lecz stale zbliżając się do liczby przedwojennej, którą osiągniemy z początkiem przyszłego roku. W dawnym porcie rybackim w Gdyni, rozszerzonym o Basen Prezydenta, panuje ruch i to nie tylko handlowy. Jak grzyby po deszczu powstają nowe firmy skupu i przetworu ryby. Spółdzielnie i przedsiębiorstwa prywatne budują, względnie remontują magazyny i hale rybne, porządkują nabrzeża, a Biuro Odbudowy Portów przeprowadza kapitalny remont zniszczonego przez Niemców wewnętrznego basenu rybackiego. Słowem, port rybacki odżywa w tempie nie tyle BOS'owym, ile w tempie... Marszałkowskiej. Ale bądźmy sprawiedliwi: duże pieniądze robią jeszcze większy pieniądz, a że tam, gdzie się robi pieniądze, nie wszystko wygląda tak różowo jakby się na pozór zdawało, więc i w gdyńskim przemyśle rybnym wiele jest stron ciemnych, wiele kantu i improwizacji, a często kwitnąca tu „lipa", wydaje owoce bardziej gorzkie w smaku, niż nawet... warszawskie.

Objawy tego rodzaju są dziś w Polsce wszakże tak nagminne, że nie budzą specjalnego zdziwienia. Znikną z biegiem czasu, tak jak zniknęły w kilka lat po poprzedniej wojnie światowej, kiedy bodajże działo się nie o wiele lepiej niż obecnie, choć nie wynaleziono jeszcze wówczas słowa „szaber" i instytucji pod nazwą „Nadzwyczajna Komisja do Walki z Nadużyciami".

Z drugiej strony, skoro się już zeszło na ten temat, czyż nie obserwowano podobnych zjawisk w okresach nagłego wzrostu dużych ośrodków przemysłowych w Zach. Europie czy USA? Czyż nie przysłowiowa stała się gorączka złota w Klondyke z towarzyszącą jej prostytucją, przekupstwem, bandytyzmem i jaskiniami gry?

W rybactwie złotem jest ryba. W aktualnym wypadku dorsz. Dorsz coprawda jest niemy i pono absolutny egoista. Dziwnie się jednak składa, że w pierwszym, a co za tym idzie, najcięższym z powojennych lat, roku, połowy ryb wzrosły w fantastyczny sposób. Fachowcy tłumaczą ten fakt brakiem normalnego odłowu podczas lat wojennych, szczególnie w roku poprzedzającym klęskę Niemiec; żartownisie — wielką ilością trupów niemieckich w Bałtyku; metafizycy zaś cichą umową z dorszem, który pono woli być jedzonym przez Polaków, niż przez inne nacje. Aby nie być gołosłownym, a jednocześnie nie nudzić czytelnika zestawieniami cyfrowymi, powiem tylko, że w miesiącach maju, czerwcu i lipcu przy dwa razy mniejszej ilości kutrów niż w 1939 r., przy niesłychanej dewastacji naszych rybnych urządzeń przemysłowo-przetwórczych, w każdym z tych miesięcy osiągnięto cyfrę połowu, równą, a nawet potężnie przekraczającą cyfrę połowów rocznych (!) w ostatnich latach przedwojennych. To dorszowe Eldorado doprowadziło nawet w czerwcu do przejściowego kryzysu na gdyńskim rynku rybnym: ceny spadły wskutek upałów do poziomu nieopłacającego kosztów własnych rybaczenia. Jednak wspólnym wysiłkiem państwa, spółdzielczości, nade wszystko „Społem", i rybaków kryzys przełamano, do czego głównie przyczyniły się PKP, oddając do dyspozycji rybołóstwa wagony-chłodnie i umożliwiając doczepianie ich do pociągów pośpiesznych — Wybrzeże — głąb kraju, gdzie dorsze w magazynach „Społem" zostały odpowiednio przechowane.



Gdy połów przekracza tonę, motorzysta dostaje gorączki dorszowej i wykonuje taniec pirata na sztagu.

Obecnie połowy są cokolwiek mniej obfite, za to ilość kutrów wzrasta z dnia na dzień. Piętnaście zakupiła dla nas UNRRA w Danii, około czterdziestu z wywiezionych przez Niemców kutrów polskich rewindykujemy ze strefy okupacyjnej angielskiej, a kilkadziesiąt znajduje się bądź w remoncie, bądź w budowie na naszych stoczniach. Jeśli do tego dodamy budownictwo rybackich łodzi wiosłowo-żaglowych (przybrzeżnych), wystarczające dla dzisiejszych potrzeb zaopatrzenia rybaka w sprzęt przez krajowy przemysł, rozpoczęcie pracy przez nasze rybołóstwo dalekomorskie i rozwijające się szkolenie narybku rybackiego, to ujrzymy zgrubsza narysowany obraz wysiłku, jaki czynimy, by na odcinku rybołóstwa stać się państwem morskim. Tzn. nie cielęce zachwyty nad morskimi „bałwanami" i czerwoną kulą (ew. tarczą) „tonącego w morzu" (ew. „wynurzającego się z morza") słońca, ale realia, proszę państwa. Jak to mówią: „Nóżki, tfu... chciałem powiedzieć, rybki na stół".

W. Zubrzycki



Gotowe skrzynki czekają na przesortowane ryby.

Linami stalowymi ciągnie się sieć po dnie morskim, ciąg taki trwa od dwóch do trzech godzin, po czym winda mechaniczna nawija liny na bębny. Sieć przy burcie.



RADOSNA TWÓRCZOŚĆ

Budzę się, proszę państwa, pewnego pięknego ranka i okazuje się, że już nie mieszkam na tej ulicy, na której mieszkałem. Wszystko niby, jak było. Nawet gruzy stoją, jak stały. Ale ulica nie ta. Inaczej się nazywa. Miała swoją nazwę bez pretensji. Teraz nazywa się szumnie, patetycznie, patriotycznie. Tylko chodzić po niej marszem i z głową odkrytą. Poczułem w piersi dumę, że mieszkam na takiej ulicy. Ale potem znowu zrobiło mi się trochę przykro. Bo, przyzwyczaiłem się do starej nazwy. Miała dla mnie, mimo bezpretensjonalnego brzmienia swoją barwę i soczystość. Zrosła się z całością miasta, które kocham. I ojciec mój chodził tą ulicą do szkoły, i tak się wówczas nazywała. I działo się na niej i to i owo. Napoleon tędy przejeżdżał. A podczas insurekcji... A w powstaniu styczniowym... Podczas rewolucji 1905 r... Miała ulica, swoją historię, cząstkę historii miasta, cząstkę historii kraju. Teraz ją wymazano z rejestru. Będzie się nazywała inaczej.

Narody kulturalne ochraniają zabytki swojej kultury. Nawet zabytki zdawało by się nieważne i niepozorne. Jakąś naprzykład starą kamieniczkę. Teraz potrafimy wybudować większą, lepszą, piękniejszą. A przecież ochraniamy i tamtą, chociaż dziś jest i mało przydatna i drogę zasłania. Bo to zabytek naszej kultury, dokument epoki, przedmiot badań uczonych i artystów oraz sentymentu powszechności, wreszcie części krajobrazu miasta. Tylko nazwy ulic nie doczekały się ochrony. Chronić te nazwy, bo to także zabytek i tradycja i dokument epoki i część krajobrazu i barwna indywidualność miasta, miejsca. Czy można wyobrazić sobie Warszawę bez Marszałkowskiej, Kraków bez Floriańskiej, Poznań bez Chwaliszewa, Łódź bez Piotrkowskiej?

Kiedyś, przed wojną otrzymałem z Paryża list, adresowany przez roztargnionego znajomego: moje nazwisko, ul. Krzywe Koło, Pologne. I list doszedł. Bo warszawskie Krzywe Koło należało do krajobrazu Warszawy, tak, jak kolumna Zygmunta. Niema już Krzywego Koła. Barbarzyństwo Niemców zniosło z powierzchni ziemi pamiątki wielu faktów historycznych. Ale nikomu z nas nie przyjdzie do głowy zsadzić naprzykład ocalałego Sobieskiego z jego cokołu i osadzić tam pomnik innego męża stanu, bardziej związanego z naszymi czasami. Nie byłoby to uczczenie męża stanu, tylko barbarzyństwo. Natomiast na każdym kroku z ignorancką lekkomyślnością i czołobitnym entuzjazmem wymazujemy szanowane, dokumentalne nazwy ulic, narzucając im nazwy osób, czy idei, które chcielibyśmy uczcić. Wygląda to tak, jakby dla wyrażenia czci zasłużonemu mężowi stanu czy bohaterowi trzeba było wysadzić w powietrze stary pomnik albo inny zabytek sztuki. Czy można czynem antykulturalnym oddać hołd osobom czy ideom, tworzącym właśnie nowe pozycje kultury narodowej?

Można wyobrazić sobie, w jaki sposób zapadają podobne „historyczne" uchwały. Zbiera się odpowiednie ciało uchwalające. W zbiorowym „ciele" najwięcej jest takich, co, prawdę powiedziawszy, nic do powiedzenia nie mają. A chcieliby się odznaczyć. Nie trzeba się długo głowić, żeby się „odznaczyć". Wystarczy zgłosić „historyczny" wniosek. O zmianę nazwy ulicy. Na cześć czyjąś, czy czegoś.

Gdybyż to jeszcze o imiona wielkich ludzi i wielkich idei chodziło. Lista wyczerpałaby się w końcu, ograniczając na jakiś czas możliwości spustoszeń. Ale pomysłowość w „radosnej twórczości" nie ma granic. Niedawno nadano jednej z ulic warszawskich nazwę „Jugosłowiańskiej Brygady Pracy". Nazwa złożona ‚niemożliwa do użycia.

Nie chodzi broń Boże, o uchybienie w czymkolwiek dzielnej brygadzie jugosłowiańskiej, która przyjechała, żeby przyłożyć ręki do odbudowania naszej stolicy. Ale podobne okazje zdarzają się często. Często przyjeżdżają do nas goście, którym chcielibyśmy okazać serce, wdzięczność, pamięć. I, jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy mieli ulicę „Uczestników Kongresu Egiptologicznego", „Wycieczki Harcerzy z Dolnego Śląska" itd. Potem wycieczka pójdzie w zapomnienie i ulica przyjmie nazwę np. „Odbudowy Pogłowia Bydła Rogatego" dla upamiętnienia znowu jakichś obrad czy uchwał w tej ważkiej skądinąd sprawie. A znowu przyjedzie jakaś inna brygada, odwali więcej gruzu i odbierze nazwę ulicy tamtej, poprzednio nazwanej brygadzie.

I wtedy już żaden szofer, żaden dorożkarz i żaden listonosz nie trafi pod wskazany adres.

Przeżywamy okres jedyny w historii. Okres odbudowy. Powstają i powstawać będą nowe ulice, nowe dzielnice, całe miasta wybudowane na miejscu miast zniszczonych. Czy tego nie dość? I czy nie słuszniej upamiętnić epokę odbudowy w nazwach ulic, będących jej dziełem, nazwać te nowe ulice imionami ludzi, przodujących dzisiejszym czasom, oraz imionami ożywiających nas dzisiaj idei? Czyż to nie będą pomniki uzasadnione, trwałe i potężne na miarę potęgi wysiłków, osiągnięć i odbudowy?

M. S.

NA LODOWCACH

Kilimandżaro

(dalszy ciąg)

Było ich pięciu, plus kucharz, plus... (wyobrażam sobie, jak ze mnie, byłego przewodniczącego komisji od kwalifikowania przewodników w Tatrach — będą kpili moi koledzy z Klubu Wysokogórskiego!) ...mieliśmy również „przewodnika"! Był naturalnie Murzynem, nazywał się Johanne, nie mówił żadnym ludzkim językiem, prócz jakiegoś tubylczego narzecza, i w szerokim uśmiechu pokazywał wspaniale lśniące zęby.

Lubię ludzi uśmiechających się wesoło; od razu poczułem do niego sympatię. Porozumiewaliśmy się doskonale na migi.

Wspomnę przy sposobności, że Johanne, jako „przewodnik", miał z nami dojść do samego szczytu i był znacznie lepiej od nas wyekwipowany wysokogórsko. Ze szczególną zazdrością spoglądałem na jego podkute buty. Przychodziło to mi tym łatwiej, że przez pierwsze trzy dni podchodzenia widziałem stale te buty na... jego głowie! Z dumą nosił je tak wysoko, i dopiero ostatniego dnia, przed wejściem na lodowiec, włożył na nogi. Takie już widać są zwyczaje murzyńskich „przewodników" wysokogórskich. Reszta tragarzy (zanieśli oni żywność, ekwipunek, drzewo i wodę aż na wysokość blisko 4.900 metrów! aż do stóp samego stożka wulkanicznego Kibo) przez cały czas, przez dżungle, łąki alpejskie i kamieniste plateau ciągnące się pomiędzy Kibo a Mowenzi — szła na bosaka.

Co zdobyliśmy z ekwipunku wysokogórskiego? Prawie nic. Dwie futrzane czapy, uszyte z małpich skór, miały nieźle chronić uszy przed odmrozeniem; skórzane rękawice, bardzo ciemne okulary (nieodzownie potrzebne na lodowcach), maść na odmrożenie, no i (wielka zdobycz!) dwa najprawdziwsze alpejskie czekany. To wszystko. Buty nasze wyglądały następująco: Bill posiadał zwykłe wysokie buty z cholewami, ja miałem na nogach wysoko sznurowane, przypominające te, jakich używają w wojsku angielskim motocykliści. Ale w podeszwach nie było ani jednego gwoździa. Zabraliśmy również wszystkie nasze koszule, piżamy, spodnie, skarpetki. Niestety, było to wszystko tropikalne, bardzo cienkie i lekkie. Liczyłem jednak, że po włożeniu na siebie tych pióciennych warstw, po zamienieniu się w taką „cebulę" — wytrzymamy mróz w szczytowych partjach.

Marsz nasz rozpoczęliśmy na wysokości około 2.000 metrów n. p. m. Do szczytu Kibo w rzucie poziomym mieliśmy blisko 75 kilometrów „drogi", a w górę „tylko" 4 kilometry. Jedynie ostatni etap trasy miał być stromy, końcowy — samo wspinanie się na szczyt, a więc już w bardzo rozrzedzonym powietrzu.

Pogoda była doskonała. Przez pierwszy dzień marszu przedzieraliśmy się przez dżunglę, zbitym kożuchem pokrywającą zbocza Kilimandżaro. Przodem szli gęsiego nasi tragarze. Każdy z nich miał na głowie pakunek lub skrzynkę wagi blisko 30 kilogramów. Z prawdziwym podziwem obserwowałem ich nadzwyczajną wytrzymałość. Trzydzieści kilo na głowie! Nie bagatelka!

W notatniku zrobiłem tego dnia taką notatkę: „Pierwszy raz w życiu idę na szczyt nie niosąc nic — prócz aparatów fotograficznych (biały człowiek w Afryce!). Pierwszy raz biorę udział w wyprawie nie posiadającej w swoim ekwipunku ani jednego plecaka!"

Wędrówka przez te dżungle, albo — według Billa — przez „las tropikalny" wprowadziła nas w doskonały humor. Po tylu latach człowiek znów jest w „prawdziwym lesie"!

Ścieżka, perć, „pikada" — mniejsza o nazwę — wiła się pomiędzy dwiema ścianami zbitej zieleni. Trudno byłoby określić: co jest drzewami a co stanowi podszycie — tak wszystko było splątane, związane jakiemiś ljanami, pnączami, gałęźmi, wrastającymi w ziemię.

Nad głowami ściany zieleni łączyły się, tworząc wspaniały strop, z wielkim trudem, jakby zazdrośnie, tylko gdzie niegdzie przepuszczający promienie słoneczne. Drżały one rzadkimi, migotliwymi plamami, zapalały światełka w kroplach rosy na liściach, kapały się srebrem w kaskadach licznych strumieni.

Do ciekawostek masywu Kilimandżaro należy to, że z lodowców Kibo nie spływają strumienie. Woda ze stopionych śniegów i lodów po prostu natychmiast wsiąka w łatwoprzepuszczalną warstwę popiołów wulkanicznych, wędruje tam gdzieś podziemnie i na powierzchnię wytryskuje dopiero znacznie niżej, u stóp masywu, właśnie w tej dżungli.

W powietrzu pełno było wilgoci i prawdziwego „leśnego zapachu". Miejscami trzeba było przełazić przez powalone burzą, czy też starością ogromne pnie, już zmurszałe, rozsypujące się zgniłym próchnem, pokryte długimi brodami zielonego mchu. Miejscami znów trzeba było przeczołgiwać się popod takimi omszonymi trupami drzew, co waląc się zatrzymane zostały splotami ljan.

Cieszyliśmy się brakiem tak dokuczliwych w Afryce much, nie cięty, o dziwo! — komary. Szurszało tylko coś w trawie, pod nogami. Coś tajemniczego chodziło po gąszczu.

Lasy na Kilimandżaro ponoć są prawdziwym matecznikiem wszelkiej zwierzyny. Nie ma prawa tu paść żaden strzał. Podobno w tych matecznikach są liczne stada słoni, a lampart jest częstym gościem Nie widzieliśmy nic. Wzrok przebijał się zaledwie na parę kroków przez zbity gąszcz.

Tego dnia odmachaliśmy coś koło 25 kilometrów „drogi". Pod wieczór wyszliśmy na cudowną polanę. Na jej przeciwległym skraju, jakby przytulona do leśnej ściany, stała murowana chatka-schronisko Afrykańskiego Klubu Wysokogórskiego. Gdyśmy otworzyli drzwi — powiało wilgocią i stęchlizną. Wypłoszywszy kilka pająków i innych nieproszonych gości, Murzyni rozłożyli nasze bety na pryczach. Kucharz zabrał się do gotowania strawy.

Chatkę tę musieli chyba zbudować jeszcze Niemcy, bo nad drzwiami widać było nazwę: „Bismarck Hut". Zaraziłem się widać tolerancją od Anglików, bo mimo obrzydliwej nazwy — spałem w niej doskonale.

Następnego dnia — dalsza wędrówka poprzez dżunglę a wyżej przez ogromne krzaki jakiejś odmiany wrzosu. Przypominały raczej drzewa.

Jeszcze wyżej — i weszliśmy w pas łąk alpejskich.

Kto nie zna alpejskich łąk, nie podziwiał bogactwa ich kwietnego kobierca, nie wędrował pachnącym zielskiem, sięgającym często aż do ramion — ten nie potrafi zrozumieć naszych zachwytów.

Odcinek drogi tego dnia wynosił blisko 30 kilometrów.

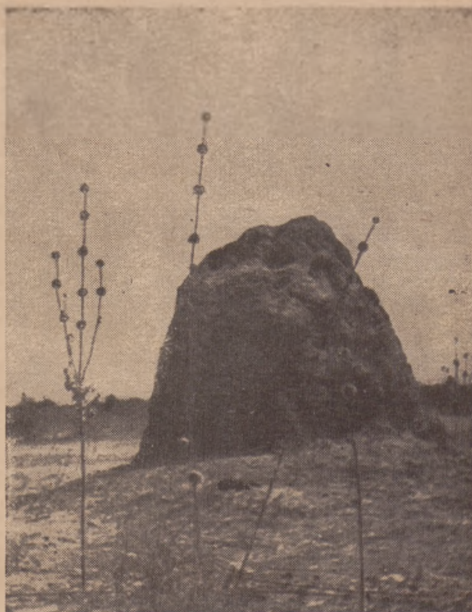
Drugą noc spędziliśmy już na wysokości 16.500 stóp, co w przeliczeniu na metry daje 4.000 z ogonkiem, a w efekcie namacalnym zamroziło nocą wodę w pobliskim strumieniu. Murzyni nasi marzli i malowniczo owijali się kocami. Myśmy spali po królewsku, otuleni kołdrami z puszystych, miękkich małpich skór. Sen jednak był już niespokojny, przerywany uczuciem duszności. Wysokość i niedostateczna w powietrzu ilość tlenu już dawały się we znaki. Nic więc dziwnego, że wschodzące słońce zastało nas już na nogach. A warto było wstać wcześniej!

Byliśmy jakby na wyspie. Równina Tanganyiki, lasy, porastające niżej położone zbocza Kilimandżaro — wszystko znikło w morzu mgieł. Jego zlekka sfalowana powierzchnia sięgała aż po horyzont i różowiła się blaskiem budzącego się dnia. Nad nami, i jak jeszcze daleko od nas! w pierwszych promieniach słonecznych błyszczała lodowa czapa na Kibo.

Następny dzień postanowiłem poświęcić nie tyle odpoczynkowi, ile zapewnieniu naszemu organizmowi choć minimalnej możliwości zaaklimatyzowania się na tych wysokościach. O konieczności tego przekonał mnie przerywany i niespokojny sen nocy ubiegłej. U obydwóch nas występowały objawy duszności, tak zwany oddech „Cheyne Stocks'a".

Przerwy w marszu nie spędziliśmy jednak bezczynnie. Powolnym krokiem ruszyliśmy we dwójkę z Billem na rekonesans w górę. Chciałem jaknajszybciej zobaczyć, choć z daleka, sam szczytowy stożek Kibo, przekonać się, jak wyglądać będzie końcowy etap wspinaczki i jakie trudności terenowe nas tam czekają.

Szliśmy w stronę przełęczy dzielącej Kibo od Mawenzi. Skończyły się już łąki alpejskie. Roślinność tylko gdzie niegdzie pokrywała zbocza. Spotkaliśmy parę ciekawych okazów kwitnącej „libelii", a po wąwozach wyciągały ku niebu swoje pokraczne czuby „senecio". Niektóre okazy sięgały 10 metrów wysokości. Pokraczna ta roślina występuje tylko w wysokogórskich rejonach Afryki, na zboczach Ruwenzori, Mount Kenya i tu. Drzewo — nie drzewo, kaktus — nie kaktus, a na czubku głowa „kapusty".



Trzymetrowej wysokości kopiec termitów.

Z przełęczy odkrywa się wreszcie szeroki widok na najwyższy szczyt masywu — Kibo.

Spojrzałem, i zrobiło mi się przykro. Na taki „szczyt" w swoim życiu wysokogórskim jeszczem nie właził. Obły stożek wygasłego wulkanu. W miarę stromy, ale nie do wspinania się, lecz do wchodzenia na nogach. Ścięty szczyt-krater, no i dopiero tam lód. Jego błyszcząca czapa nierównomiernie pokrywała wierzchołek. Od południo-zachodu na przykład spełzała o jakie 1.000 metrów niżej.

Określiłem tego olbrzyma krótko, lapidarnie i wcale nie poetycko: krowa! Ale przyjrzawszy się dokładniej, przez silne szkła, zboczu — zaniepokoiłem Billa proroctwem, że właśnie na tym końcowym odcinku będzie nasza „Kalwaria".

* *

Pod wieczór zeszliśmy z powrotem do obozowiska. Drugą noc na tej samej wysokości spaliśmy już znacznie lepiej. Nawet ten jeden — jedyny dzień spędzony tu, dał nam maleńką możliwość aklimatyzacji.

Dalszy marsz odbywał się w bardzo wolnym tempie. Trzeba było oszczędzać siły na końcowy wysiłek.

Murzynom wysokość dawała się bardzo we znaki. Byli teraz zresztą obciążeni dodatkowo: prócz normalnego ładunku nieśli na głowach i wiązanki drzewa i wodę. Dalej była wszak tylko kamienista pustynia.

Przyznam się, że miałem pewne obawy przed wędrówką przez kamieniste plateau—wielką płaszczyznę położoną pomiędzy wierzchołkiem Mawenzi a Kibo. Plateau to pokrywa zbita, równiutko kiedyś usypana warstwa brunatno-czerwonawego popiołu wulkanicznego i czarne głazy, które ongiś Kibo raczył wypluć ze swego krateru. Wysokość... o! odczuwaliśmy ją już dobrze! byliśmy wszak powyżej wierzchołka Mont Blanc! 4.800 metrów nad poziomem morza! Moje obawy łączyły się z wysokością, intensywnośc a słońca tropikalnego i ciemnym kolorem tej płaszczyzny. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli będziemy przechodzili ją w południe, w pełnym słońcu — dostaniemy mocno w skórę. W takich warunkach nie ma nic łatwiejszego, jak dostać porażenia słonecznego. Niedawno zresztą opowiadano mi, jak zeszłego roku Anglicy, bagatelizując to niebezpieczeństwo, przypłacili je życiem.

Mieliśmy jednak szczęście: wędrówkę przez czarne plateau odbyliśmy w chmurach. Dziwaczne mgły włóczyły się naokoło. W połączeniu z kolorytem otoczenia, z sylwetkami naszych zmarzniętych tragarzy i ciszą—taką ciszą, że zdawało się, że słychać szum krwi w uszach — wytworzyły te chmury nastrój, że tak powiem — tybetański.

Miały one jednak i stronę ujemną: zbliżając się do końcowego etapu, nie widzieliśmy zbocza szczytowego z bliska. Czasami tylko, przez dziurę w chmurach, błyskały wysoko nad nami lody, a po chwili ginęły w zwałach mgły. Niepokoiło również myśl: czy aby to już nie nadciągnęły chmury pory deszczowej?

Ostatnią noc spędziliśmy u samego podnóża Kibo. Znajduje się tam malutka budka-schronisko, zbudowane z blachy falistej i lekkiej konstrukcji drewnianej staraniem Afrykańskiego Klubu Alpejskiego. Jest to chyba najwyższe na świecie „schronisko" wysokogórskie (wyżej położone od najwyższych szczytów alpejskich) i pomyślane nadzwyczaj celowo. W wypadku złapania przez nagłą niepogodę, może być ratunkiem.

Wewnątrz: parę prycz, metalowy piecyk, stół i książka pamiątkowa z nazwiskami tych, którzy dotarli do szczytu lub niesławnie zawrócili ze zbocza.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Wiktor Ostrowski.

Żyrafy, wśród karłowatych krzewów na stepach Masai, wyglądają, jak przedpotopowe potwory.



„Senecio" — drzewo — nie drzewo, kaktus — nie kaktus, a na czubku — karczoch.



Tryptyk Wita Stwosza w Mariackim Kościele w Krakowie

świetny pomnik polskiej kultury

Zacznę rzecz po kupiecku. W r. 1898, gdy Kraków znajdował się jeszcze w zaborze austriackim, przedstawiciele Brytyjskiego Muzeum w Londynie chcieli pozyskać na własność ten zabytek, najwspanialsze i największe rozmiarami arcydzieło średniowiecznej rzeźby gotyckiej, tak niesłychanie w Anglii cenione. Zobowiązywano się wykonać dla kościoła wierną kopię i spłacić długi ówczesnej Galicji, wynoszące 68 milionów koron austriackich, czyli około 70 milionów franków szwajcarskich. Jednak nie zgodzono się na to, gdyż słusznie uważano, że zabytek ten, tak dla nas jest cenny, że złotem zapłacić się nie da. Od początku swego istnienia był on jak najściślej związany z Mariacką świątynią, zamówiony dla niej przez mieszczan krakowskich, do których nad nią należała opieka, gdzie też rada miejska, ławnicy czyli sędziowie miejscy, kupcy i związki rzemieślnicze, ołtarze swe posiadały. Wykonał go Stwosz ściśle do rozmiarów danego miejsca, a już sam przeciąg lat od 1477 do 1489, pomimo współpracy pomocników, zwłaszcza do części architektonicznej, wskazuje na ogrom włożonego trudu.

Środek tryptyku zajmuje rodzaj pięknie w gotycką architekturę ujętej wnęki, w której rzeźbiarz ujął, odpowiednio do wezwania tego kościoła, Zaśnięcie Najśw. Panny, otoczonej apostołami. Zazwyczaj, jak bywało we włoskiej sztuce, przedstawiano Madonnę spoczywającą w łożu, ale Stwosz chciał zaznaczyć — jak i inni artyści północni — że zeszła ona z tego świata bez choroby i boleści, ale świadomie i spokojnie, skoro nadszedł czas aby opuściła ten świat. Toteż tutaj klęczy ona, ze złożonymi do modlitwy rękami, podtrzymywana przez poważnego, długobrodego apostoła Andrzeja. Może ktoś nie zgodzi się ze mną, ale śmiem twierdzić, że ta postać Madonny jest największym arcydziełem naszego mistrza, a zarazem najwznioślejszym posągiem w średniowiecznej rzeźbie poza Alpami. Ręce jej opadły, jak gdyby dwa podcięte kwiaty, głowa przechyliła się w sposób pełen niewysłowionego wdzięku. Tego artystę możemy nazwać wielkim, który ma do wypełnienia wielkie myśli i umie je odpowiednio wypowiadać, a takim był właśnie Stwosz. Nie wiem dlaczego niektórzy twierdzili, że ten zespół otaczających Madonnę apostołów nie jest dostatecznie ze sobą zespolony myślą i czynnością. Jestem tu zupełnie innego zdania. Każdy z nich inną czynność wykonuje, swobodnie, odpowiednio do danej chwili, tylko, że brak w ich rękach niektórych przedmiotów, jakie wtedy trzymali. Piotr z księgą odmawia modlitwy za schodzącą ze świata, drugi kropi święconą wodą, inny gasi gromnicę, inny ręce załamuje nad jej postacią, Jan szatą łzy obciera, a tamci znów patrzą w niebo, spostrzegając, że Ją już tam unoszą aniołowie, a Chrystus ją przyjmuje, zaś u samej znów góry koronuje ją wraz z Bogiem Ojcem.

Jak bywało przy tego rodzaju wielkich dziełach, zamawiający omawiali z wykonawcą całą treść, a nawet niejeden szczegół. Nic więc dziwnego, że u góry po bokach oglądamy ogromne postacie głównych patronów Polski i Krakowa, św. Wojciecha i Stanisława. Wspomnianą środkową wnękę z Zaśnięciem, zamykają ruchome skrzydła, na których, jak i na zewnętrznych, na stałe przytwierdzonych, wyrzeźbiono wypukło osiemnaście zdarzeń radosnych, bolesnych i chwalebnych z życia Najśw. Panny. Kto uważa za szczyt klasyczne piękno sztuki Odrodzenia, ten wobec dzieła Stwosza dozna zawodu. Nawet nieuprzedzony niemiecki uczony z przedhitlerowskich czasów, Bertold Daun, w swej monografii naszego artysty, podkreślając właściwą mu niezwykłą zamaszystość, dopatrywał się w niej odbicia jego „polskich obyczajów i form życia" i to również w późniejszym okresie, kiedy Stwosz opuścił Kraków i na swoje i na nasze nieszczęście przeniósł się do posiadającej niegdyś z Krakowem silne związki, Norymbergi, a pracownię swą na miejscu pozostawił synowi swemu Stanisławowi. Tenże Daun podkreślał, że Stwosz nawet i w Norymberdze przedstawiał nie niemieckie, ale polskie typy. Zdanie to zupełnie słuszne, tym bardziej, że nasz artysta wykonywał dla wybitnych polskich osobistości pomniki w kościołach, a na mariackim tryptyku sportretował arcybiskupa gnieźnieńskiego Zbigniewa Oleśnickiego (nie kardynała, którego ten był bratankiem), sławnego humanistę i nauczyciela synów Kazimierza Jagiellończyka, Filipa Kallimacha, — dalej sekretarza miejskiego krakowskiego Jana Heydeka, który jako humanista przezwał się z łacińska Myrica, a który po odjeździe mistrza do Norymbergi opiekował się jego pozostałą w Krakowie rodziną — oraz wielu innych. W scenach z Męki Pańskiej, Stwosz, jak zwyczajnie średniowieczni artyści, starał się typy zbirów przedstawić jako zwyrodnialców (dziś można by powiedzieć gestapowców), a obecny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Fr. Walter, wydał nawet pracę o tych jego typach.

Wiadomo, że Stwosz był równie biegłym malarzem jak rzeźbiarzem, a skrzydła jego tryptyku z czasów norymberskich w Münnerstadt, nie są rzeźbione ale tylko malowane, toteż na krakowskim tryptyku wyobraził on na tłach krajobrazowych rośliny przeróżne tak dokładnie, że znów b. rektor Uniw. Jagiell. dr. Wł. Szafer, wydał o tym pracę.

Kiedy przedostatniej wiosny pisałem do Ministerstwa Kultury i Sztuki sprawozdanie z grabieży, dokonanej przez Niemców, w związku ze staraniem o odzyskanie naszych dóbr kulturalnych — wyraziłem obawę co do stanu, w jakim tryptyk Stwosza, przechowywany w podziemiach zamku w Norymberdze mógł się znajdować. Nauczył nas bowiem przezorności przykład przepięknej „Piety" Quinten Metsysa ze skarbca Katedry na Wawelu, przemytej ostrym ługiem przez niemieckiego „konserwatora", tak, że w niektórych miejscach zmyto niezmiernie delikatne laserowanie. Owo laserowanie, ulubione w średniowieczu, polega na tym, że najpierw daną część pokrywa się kryjącym kolorem o spoiwie tempery to jest białka, a następnie przeciąga kolorem nieco innego odcienia, przezroczystym, przez co kolory mienią się. Jeżeli do tego dodamy gęste złocenia, to całość otrzymuje przedziwną mistyczną grę kolorów. Niestety obawy moje spełniły się, ale w inny sposób niż myślałem, bo choć w czasie przewozów i wystaw niezbyt wielkie nastąpiły uszkodzenia, to przez niedbalstwo niemieckie, ze skrzyń w których przechowywane były poszczególne części, przedostały się owady gryzące drzewo. Ich usunięcie przedstawia wielkie trudności, zarówno by wytępić te, które już wgryzły się głęboko w drzewo, jak i nie dopuścić nowych. Istnieje wprawdzie wiele środków niszczących szkodniki, ale te mogłyby zaszkodzić polichromii i złoceniom, więc komisja złożona nie tylko z zawodowych historyków sztuki ale i z naszych przyrodników i chemików, stale prowadzi badania i służy radami kierownikowi prac, którym jest dyrektor rządowej Pracowni Konserwatorskiej na Wawelu, art. mal. Słonecki.

Dr. T. Cieszyniak



Część środkowa tryptyku Wita Stwosza z lat 1477—89 w kościele Mariackim w Krakowie, przedstawiająca Zaśnięcie Najśw. Panny i Wniebowzięcie.

Wybory w Warszawie przed 40-tu laty

Klimat polityczny jest różny od klimatu przyrody.

Według ściennego kalendarza ma się ku zimie, a według kalendarza politycznego wkraczamy w gorący okres lata przedwyborczych nastrojów. Barometr naszych nerwów idzie ku górze.

Wybory! Termin ten zawsze elektryzował i podniecał społeczeństwo.



Rozdawane ogłoszenia wyborcze są natychmiast rozchwytywane. W głębi widać sylwetkę dawnego Dworca Wiedeńskiego w Warszawie (róg Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej).



Parokonnymi platformami przejeżdżały przez miasto grupy agitatorów wyborczych z transparentami, rozrzucając ulotki i wznosząc propagandowe okrzyki.

Odwróćmy pożółkłe stronice czasopism sprzed 40 laty i cofnijmy się myślą do tego okresu, gdy po raz pierwszy w Królestwie Kongresowym zarządzono wybory do Dumy Państwowej.

Leży przede mną rocznik „Tygodnika Ilustrowanego" z 1906 roku. Przeglądam obrazki. Poczciwe zdjęcia kuszą, by przeczytać treść załączonego sprawozdania z przebiegu wyborów.

Tytuł krótki, spokojny: „Wrażenia wyborcze", a podtytuł: „Lud się gromadzi". Czytamy:

„Zebrania polityczne ludu warszawskiego w pamiętny dzień 25 kwietnia, w dzień wyborów w stolicy, odbywały się na ulicach do późnej nocy. Dyskutowano o wszystkim. Nie pomijano niczego. Rozprawiano o partiach z natury rzeczy dominowało w tych mityngach.

— Burżuazja z narodowej demokracji gnębi robotników; wysysa ich krew! Panowie, można trzymać stronę tylko postępowej demokracji, precz z kartelami wyzyskiwaczy!"

Jak z przytoczonego fragmentu widać, w ten deseń argumentowała lewica. Co na to prawica? Posłuchajmy:

„Obywatele, za cudze pieniądze klepie, jak nakręcony. Pewnie dostał marek pruskich! Niech żyją narodowcy!"

Co za interes miały Prusy, ażeby subwencjonować przy wyborach markami lewicę, jest to chyba tajemnica demagogii. Okazuje się, że ta sztuka przez ojców naszych uprawiana była z niemniejszym zamiłowaniem, niżeli przez ich synów.

Idźmy dalej za tokiem artykułu, a okaże się, że teoria rasizmu nie jest wynalazkiem Rosenberga.

„Domorosły jakiś polityk — pisze sprawozdawca „Tygodnika Ilustrowanego" — mistrz szewski lub blacharski (sądząc z pozoru w każdym razie drobny rzemieślnik) peroruje głośno. Interesującą logiką popiera twierdzenie, że Żydom należało dać „mniejsze" prawo wyborcze.

— Bo Żydzi, tak woła stentorowym głosem, mnożą się szybciej od nas. Więc dla równowagi powinno prawo wyborcze odpowiadać procentowi przyrostu ludności; głos chrześcijanina powinien akurat o tyle więcej znaczyć od głosu Żyda, o ile ludność żydowska ma przewagę nad polską w powiększaniu się liczebnym: bo inaczej kwita z równością".

Kobiety podówczas nie głosowały. Ustawa odmawiała im dobrodziejstwa demokracji. Kobiety, które domagały się prawa wyborczego, były ośmieszane jako sufrażystki. Posłuchajmy, jak na pretensje świata kobiecego reagowała ulica. Cytuję z „Tygodnika Ilustr.":

„Co ten smarkacz będzie nam bluźnił, widzicie, ubliża nam kobietom, i woła precz. A jakże! Masz go, smarkacz!

— Patrzajcie, jak jej pysk wyrósł, — odcina się typ nazwany smarkaczem, — milczeć baby! Do garnków. Co wam po polityce, nosy dzieciakom ucierać!

— Widzicie, pijana! Waryatka! Będzie jeszcze szczekać do tego na nas".

Oto obrazki przedwyborcze, rzucające pewne światło na tromę obyczajową tamtego pokolenia. Straciły one dziś dla nas swoją żywość i aktualność, jak zapewne dla następnych pokoleń martwe się staną te emocje przedwyborcze i wyborcze, jakie my dzisiaj przeżywamy. Ale z takich etapów „emocjonalnych" składa się rozwój i postęp społeczeństw.

Leon Sobociński

50 milionów zł od „Społem"

na Daninę Narodową



W dniu 26 ub. m. prezes „Społem" Jan Żerkowski w towarzystwie członka prezydium Zarządu dyr. Leonarda Lenka wręczył wiceprezydentowi K. R. N. ob. Stanisławowi Szwalbemu czek na 50 milionów zł. w imieniu „Społem" jako dobrowolną przedpłatę na Daninę Narodową. Prezes Żerkowski wręczając czek podkreślił, że „Społem" przykłada wielką wagę do ożywienia życia gospodarczego i politycznego na Ziemiach Odzyskanych, uważając je za kluczową pozycję w rozwoju Polski Odrodzonej. Zgodnie z uchwałą Rady Nadzorczej zarząd „Społem" pospieszył ze złożeniem 50-milionowej przedpłaty pragnąc tym dać przykład również innym płatnikom. Na zdjęciu od lewej: wiceprezydent Szwalbe, prezes Żerkowski i dyr. Lenk. (fot. E. Brzozowski)

Kongres Stronnictwa Pracy



W dniu 1 b.m. obradował w Warszawie pierwszy powojenny Kongres Stronnictwa Pracy, na który przybyło kilkuset delegatów. W imieniu rządu premier Osóbka-Morawski złożył Kongresowi życzenia jak najowocniejszych prac, stwierdzając, że ruch chrześcijańsko-społeczny reprezentowany przez Stronnictwo Pracy ma w Polsce do spełnienia doniosłą rolę.

Na zdjęciu: premier Osóbka - Morawski w chwili wygłaszania przemówienia.

VIRTUTI MILITARI

DLA POCZTY POLSKIEJ W GDAŃSKU

W ostatnich tygodniach wojny, wiosną roku 1945, wypadło porucznikowi Szymańskiemu z 11 Dywizji Piechoty W. P., kwaterować na plebanii katolickiego kościółka w Nowogrodzie nad Gwizdem, na Dolnym Śląsku. Nowogród nazywał się wtedy Naumburg am Queiss, a plebania zarzucona była stertami makulatury niemieckiej. Jakie było zdziwienie porucznika, gdy ze stosu propagandowych wydawnictw hitlerowskich wygrzebał pięknie oprawną księgę z orłem polskim i herbem Gdańska na okładce.

Dziwne były losy tego pokaźnego tomu. Oto w listopadzie 1928 r., z okazji poświęcenia pierwszego sztandaru pocztowców Polskiego Urzędu Pocztowego w Gdańsku, założono Złotą Księgę Urzędu. Wśród szeregu inauguracyjnych wpisów, widnieje tam nota ówczesnego radcy Dyrekcji Gdańskiej, mgr. Dziekana. Napisał on wtedy: „Oby ta Księga Złota doczekała czasów, gdy będzie tylko poczta polska w Gdańsku". Dziś mgr. Dziekan jest dyrektorem Okręgu Poczt i Telegrafów w Szczecinie.

Księga dzieliła następnie losy Polskiego Urzędu Pocztowego Gdańsk 1, urzędu, przeciw któremu ustawicznie zwracała się nienawiść gdańskich wychowanków Greisera i Förstera.



Wojsko polskie wystąpiło na uroczystości w nowych hełmach stalowych. (fot. J. Płażewski)

W toku bohaterskiej obrony Poczty Gdańskiej w 1939 r., Księga zaginęła. Cudem odnaleziona, wróciła właśnie na swe właściwe miejsce, uzupełniona opisem bohaterskich walk wrześniowych. Uroczystość ta zbiegła się z poświęceniem i dekoracją krzyżem virtuti militari drugiego sztandaru pocztowców gdańskich, w miejsce zniszczonego w 1939 r.

W dniu 1 grudnia, w pełnej polskich pamiątek katedrze w Oliwie, odbył się akt poświęcenia nowoufundowanego sztandaru przez J. E. ks. dr. Wronkę, administratora apostolskiego gdańskiego. Przednia strona sztandaru przedstawia godło narodowe, natomiast na odwrocie wyszyto 4 wymowne daty: 8.4.1793—likwidacja królewskiej poczty gdańskiej wskutek II rozbioru; 10.1.1920 — traktat wersalski przyznaje Polsce prawo utrzymywania poczty w Gdańsku; 1.9.1939 — bohaterska obrona poczty; 30.3.1945 — pierwsza ekipa pocztowców polskich w płonącym Gdańsku.



Kontradmirał Mohuczy dekoruje sztandar krzyżem virtuti militari.

Po mszy św. nastąpił moment kulminacyjny: w imieniu nacz. dowódcy W. P., kontradmirał Mohuczy odznaczył sztandar krzyżem i wstęgą orderu virtuti militari. Jest to jedyny sztandar związku pocztowców, który dostąpił godności dekoracji tym najwyższym odznaczeniem wojskowym, jakie Polska posiada. Epopeja poczty gdańskiej nie została zapomniana. Krzyży na modro-czarnej wstążce nie zawiesi nikt na piersiach walecznych 38 obrońców, którzy odparli atak piechoty niemieckiej i czołgów, zostali po zmuszeniu do kapitulacji rozstrzelani w Zaspie pod Wrzeszczem i nie wiadomo nawet, gdzie są ich mogiły. Nieznane jest także nazwisko pierwszego komendanta załogi poczty, poległego w trakcie walk, tajemniczego „Konrada".

Uroczystości gdańskie przypomniały raz jeszcze o walce tych, którzy pierwszego dnia drugiej wojny światowej czynem odpowiedzieli na hitlerowską agresję. J. Pl.

Odkrywcy penicilliny



Lord Bennett (w środku) dekoruje odkrywców penicilliny: prof. Aleksandra Fleminga (z lewej) i prof. Howarda Florey (z prawej). (Times)



INŻYNIEROWIE OSZKLILI KOPUŁĘ GMACHU SEJMU

Kierownictwo budowy gmachu sejmowego w Warszawie spotkało się z ogromnymi trudnościami. Przed nadchodzącymi mrozami należało koniecznie oszklić wielką kopułę sali sejmowej. Pomimo starań nie można było znaleźć odpowiedniej liczby specjalistów — szklarzy. Sytuacja stała się dramatyczna, gdyż od oszklenia kopuły zależał termin odbudowy gmachu, wyznaczony na 15 lutego 1947 r.

Po odbyciu generalnej narady jedenastu inżynierów Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego (które odbudowuje Sejm) z dyr. naczelnym inż. Bolesławem Miszułowiczem na czele, postanowili osobiście oszklić kopułę. W tej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy inżynierom pomogli pracownicy P.B.P. i oto w ciągu tygodnia budowa kopuły sejmowej została ukończona, a na jej szczycie — na znak ukończenia robót — umieszczono godło szklarskie.

GENERAŁ MACKENSEN SKAZANY NA ŚMIERĆ



Sąd Wojskowy w Rzymie skazał na karę śmierci głównodowodzącego armii niemieckiej we Włoszech gen. Mackensena i b. komendanta Rzymu gen. Maeltzera, jako odpowiedzialnych za rozstrzelanie przez Niemców 336 włoskich zakładników w w marcu 1944 r.

Na zdjęciu od lewej: gen. Mackensen, tłumacz i gen. Maeltzer.

(S.A.P.)

Prawo lynchu



Na marginesie ostatnich wyborów do Kongresu Stanów Zjednoczonych cała prasa europejska poświęciła dużo miejsca problemowi udziału Murzynów w głosowaniu. W czasie poprzednich wyborów w południowym stanie Georgia jedyny Murzyn, który odważył się głosować został zlinczowany. Wkrótce potem miał miejsce inny wypadek. Murzyński robotnik rolny 27-letni Roger Malcolm oskarżony o drobne przewinienie został zwolniony z więzienia za kaucją, złożoną przez jego pracodawcę. Bezpośrednio po wyjściu z aresztu — z samochodu farmera wyciągnięto nieszczęsnego Murzyna, jego żonę, szwagra i wszystkich zamordowano. Najsmutniejszy jest jednak epilog. Gdy zwłoki zostały wystawione w miejscowym prosektorium przedefilowały nie tylko setki matek murzyńskich demonstrujących swoim dzieciom jak daleko sięga wolność Murzynów w Stanach Zjednoczonych, lecz również białe matki z dziećmi, zaspakajając niezdrowe pragnienie sensacji i zatruwając dusze dziecięce koszmarnym widokiem.

(wp.)

Niedyskrecje polityczne

Niemcy w Londynie

Do Londynu przybyła delegacja socjal-demokratów niemieckich z osławionym drem Kurtem Schuhmacherem na czele. Wierzymy, że przez chwilę przywódca socjalistów niemieckich musiał mieć dość głupie uczucie, gdy znalazł się w wielkiej sali Związków Zawodowych oko w oko i licznym audytorium dziennikarzy, z których jedni z góry ustosunkowani byli do delegacji niemieckiej przychylnie, a drudzy nieprzyjaźnie.

Niemiec w roli demokraty: takie widowisko może być rzeczywiście interesujące dla przeciętnego Anglika, który przez kilka lat widział w Anglii tylko jeńców niemieckich. Zainteresowanie musiało być tym większe, że przecież ten aktor wykazał niemały tupet, zwołując konferencję prasową.

I jak prawdziwy stremowany aktor, dr Schuhmacher rozpoczął swe exposé głosem niepewnym i drżącym, w miarę monologowania nabierał jednak pewności siebie.

Dyktując zwycięskim mocarstwom politykę, jaką powinni stosować wobec zwyciężonego narodu niemieckiego i krytykując uchwały poczdamskie, dr. Schuhmacher zagroził mocarstwom rewolucją nacjonalistyczną w Niemczech.

Grozić można. Dlaczego nie. Może naiwni Anglicy uwierzą. Przecież uwierzyli, że istnieją demokraci niemieccy, że istnieją dobrzy Niemcy, którym trzeba pomóc, by ich wyzwolić z pęt nazizmu i dać im wszystko, czego zażądają, by — Boże broń — nie padli pastwą nacjonalizmu.

Dr Schuhmacher wyczuł jednak, że nie może grozić zwycięzcom nową rewolucją nazistowską, więc zagroził nacjonalistyczną. Jakby nazizm nie był najostrzejszą i najbrutalniejszą formą nacjonalizmu. Grożenie jednak taką rewolucją oznacza typowy niemiecki brak umiaru i blagę typu „kollossal". Chcielibyśmy widzieć taką rewolucję pod okupacją armii czterech mocarstw, wyposażonych w najbardziej nowoczesny sprzęt wojenny, którym nie mogły stawić czoła regularne dywizje niemieckie.

My w bajdurzenie dra Schuhmachera nie wierzymy. Ale nie wiemy, czy nie uwierzyli w nie Anglicy. Wszystko jest możliwe.

Oprawcy i ofiary

Prawdziwe zainteresowanie wzbudziły wspomnienia Schlabrendorffa w opracowaniu Władysława Pawlaka, zamieszczone w kolejnych numerach „Tygodnia". Wykazują one wielkie wrzenie, jakie panowało w niemieckim korpusie oficerskim przeciw Hitlerowi. Przecież otoczony on był formalnie spiskowcami, z którymi spotykał się co dnia na odprawach i przy posiłkach, a mimo to zbrodniarz żył i działał, popełniając co dnia okropniejsze zbrodnie. Wszyscy ci oficerowie uważali się również za ofiary nowoczesnego despoty, który nie znosił żadnego oporu i łatwo wpadał w szał, gdy nie wszystko działo się według jego woli. Ci oficerowie zawodowi chętnie podkreślali swą odrębność od różnych dygnitarzy partyjnych ze stopniami oficerskimi. A mimo to, psychika niemiecka u jednych i drugich pozostała identyczna. Pozostali okrutnikami, takimi samymi, jak ich pierwsi przodkowie od margrabiego Gero począwszy, a na zdobywcach Belgii w poprzedniej wojnie światowej skończywszy. Wszak Schlabrendorff opowiada, że szereg spiskowców odmówiło dokonania zamachu na Hitlera, twierdząc, że nie będą do tego zdolni. Byli po prostu sterroryzowani przez despotę. Ale za to ich koledzy chętnie dawali ujście swemu okrucieństwu, znęcając się nad ludnością podbitych krajów. Wszak do spisku należeli gubernatorowie wojskowi Francji i Belgii, którzy byli oprawcami Francuzów i Belgów. We Włoszech skazano na śmierć dwóch generałów niemieckich za wydanie rozkazu rozstrzelania 336 Włochów.

To zestawienie pewnych charakterystycznych faktów świadczy, że oficerowie niemieccy buntili się przeciw despotyzmowi Hitlera i przeciw jego militarnej ignorancji, która przeszkadzała Niemcom w wygraniu wojny. Godzili się jednak z narzuconymi przez niego metodami prowadzenia wojny totalnej z narodami.

W ten sam sposób walczył margrabia Gero z plemionami słowiańskimi w Marchii Wschodniej.

Od i do Redakcji

P. Stefania Kozłowska w Warszawie i P. Kamila Czerniejewska w Poznaniu. Po uzyskaniu dokładnych informacji zawiadomimy listownie.

P. Z. Jarkiewicz w Jeleniej Górze. Dziękujemy za nadesłany materiał.

P. Witold Matulewicz w Siedliszczach, pow. Chełm. Brakujące numery wysyłamy.

P. Jerzy Bielenia w Krakowie. Nadesłany materiał wykorzystamy. Warunki listownie.

P. E. Gulbin w Lublinie; P. Mieczysław Zydler w Sopotach; P. inż. Władysław Brauman w Gorlicach; P. Feliks Krasuski w Zielonej Górze; P. Zofia Grabowska w Wyszogrodzie; P. Stanisław Cieszewicz w Nakle n/Notecią; P. Stanisław Woźniak w Zumborzycach; P. Irena Bednarek w Katowicach; P. „Wiśka" w Będzinie; P. Wł. Czekański; P. B. Wyżykowski we Wrocławiu; P. inż. Fils w Łodzi; P. Tadeusz Biliński w Krakowie. Z nadesłanych materiałów nie skorzystamy.

Strajk górników amerykańskich

Strajk górników amerykańskich, który wybuchnął w Stanach Zjednoczonych, jest jednym z najważniejszych wydarzeń doby obecnej. Ameryka już dawno nie przechodziła tak silnych kryzysów strajkowych. Porównać go można ze strajkiem górników brytyjskich z roku 1926.

Obecny zatarg w Stanach Zjednoczonych ma ostry przebieg. Rząd zajmuje stanowisko nieprzejednane. Prezes związku górników Lewis, którego oświadczenie wywołało zaniechanie pracy w kopalniach, został powołany do odpowiedzialności sądowej. W całym państwie wydano zarządzenia ograniczające zużycie węgla, nawet w szkolnictwie, aby w ten sposób wywrzeć pośredni nacisk na strajkujących.

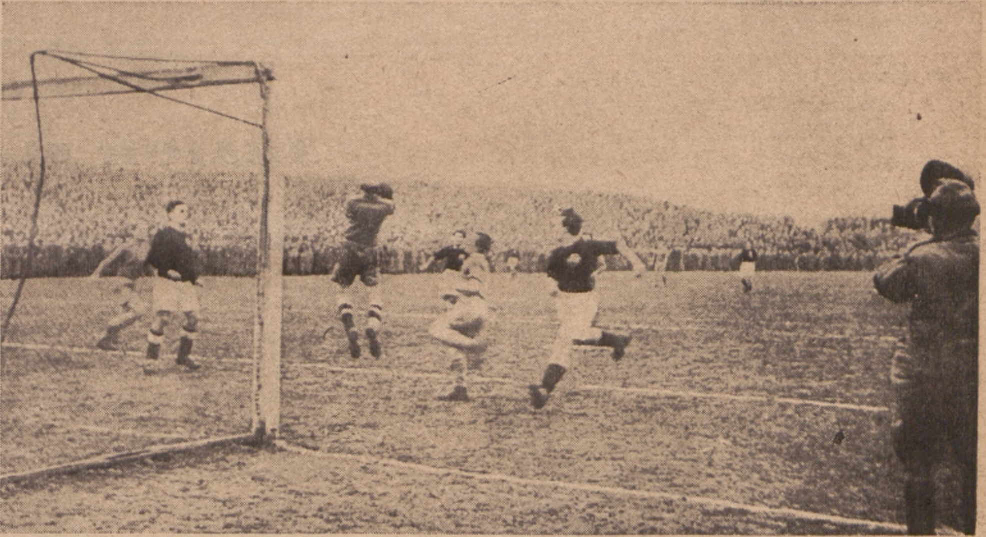
Jakie jest podłoże tego strajku?

Głębsze rozważania wykazują jasno, że rozdział dochodu społecznego, zamiast stać się równomierniejszy, jeszcze bardziej zwiększył po wojnie swoje dysproporcje. Płace są większe niż w innych krajach, ale i ceny zboża wyższe. Ilustracją tego może być następujące zestawienie. ile chleba może kupić sobie robotnik niewykwalifikowany w stolicach poszczególnych państw (płace i ceny przeliczone zostały we frankach francuskich):

Gdzie	Płace	Cena 1 kg chleba	Ilość kg chleba
Bruksela	6 600.—	10.—	660
Genewa	10 000.—	16.—	625
Londyn	7 500.—	16.—	469
Paryż	6 225.—	14.—	445
Nowy York	16 800.—	49.—	343

S. W. B.

Polonia pierwszym powojennym mistrzem piłki nożnej



Fragment meczu decydującego o mistrzostwie piłkarskim Polski na rok 1946, rozegranego w Warszawie między Polonią a AKS. zakończonego zwycięstwem Polonii 3:2

WIADOMOŚCI SPORTOWE

OSTATNI MECZ O MISTRZOSTWO POLSKI. Warszawa reprezentowana była przez Polonię, która spotkała się tym razem z mistrzem Śląska drużyną AKS. Trzeba zaznaczyć, że Polonii wystarczał wynik remisowy by uzyskać pierwszy raz w dziejach piłkarstwa polskiego tytuł mistrza Polski. Polonia stała się więc faworytem niedzielnych rozgrywek. Na stadionie Wojska Polskiego zgromadziło się około 25 tysięcy widzów. Już w pierwszych minutach gry zaznaczyła się przewaga „czarnych koszul". Do przerwy Polonia potrafiła uzyskać prowadzenie 2:1. Po zmianie stron AKS gra znacznie lepiej i grozi co chwila wyrównanie, ale Polonia gra nadzwyczaj ambitnie i koniec końców to sensacyjne spotkanie kończy się zasłużonym zwycięstwem Polonii 3:2. Bramki dla Polonii zdobyli Woźniak, Swicarz 2, a dla AKS Spodzieja i jedna samobójcza. Sędziował niezbyt dobrze Maślarz z Poznania. Po meczu tym tabelka rozgrywek przedstawia się następująco: 1) Polonia 9 pkt, 2) Warta 6 pkt, 3) AKS 5 pkt, 4) ŁKS 4 pkt. Wicemistrzem Polski została więc drużyna Warty z Poznania. Ślązacy zepchnięci zostali na trzecie miejsce, a ŁKS znalazł się na czwartym. Rozwiany więc został trwający do niedawna mit o niepokonanej drużyn śląskich, który razem z zespołami krakowskimi stara się grać zawsze pierwsze skrzypce w sporcie piłkarskim Polski. To, że tytuł mistrza Polski zdobyty został przez graczy warszawskich, świadczy dobitnie o tym, że w rozgrywkach tak poważnych jak mistrzostwa Polski decyduje nie przypadek chwilowej formy, a ogólny poziom drużyny. Widzieliśmy bowiem w Polonii stałe równorzędną grę. Polonia potrafiła wygrać w Chorzowie z AKS 1:0, a u siebie pokonać AKS 3:2. Natomiast podobna sytuacja była z Wartą, z którą Polonia przegrała nieznacznie w Poznaniu, a potem zremisowała. Natomiast fatalnie przedstawiała się sytuacja z ŁKS. Łodzianie potrafili wygrać z AKS u siebie 4:2, a przegrać na Śląsku 5:0. Pierwsze więc powojenne mistrzostwa Polski zostały zakończone zwycięstwem Polonii. Teraz należy oczekiwać jaką zapadnie decyzja na zebraniu PZPN w sprawie utworzenia ligi państwowej w Polsce. Jest szereg projektów, które rozpatrywane będą przez speców sportowych w Warszawie.

W ŁODZI ODBYŁY SIĘ JESIENNE DERBY

Na boisku po raz piąty z rzędu spotkał się ŁKS z ZZK. Dotychczasowy bilans wypadał na korzyść kolejarzy. Niedzielny mecz zakończył się jak i poprzedni wynikiem remisowym 3:3. Hogendorf został tak silnie kontuzjowany, że odwieziono go do szpitala. Baran stracił na meczu dwa zęby, a Gwoździński zeszedł z boiska z rozciętymi wargami.

ÓSEMKA BOKSERSKA POLSKI znajduje się w Poznaniu na treningu przed wyjazdem do Sztokholmu na mecz Polska—Szwecja 15 grudnia. PZB ustalił następujący skład Polski: Grzywocz, Janowczyk, Antkiewicz, Sowiński, Olejnik, Kolczyński, Szymura i Klimecki. Skład ten budzi cały szereg zastrzeżeń. Szkoda wielka, że PZB nie zechciał przeprowadzić walk eliminacyjnych. Bokserzy opuszczą Gdynię 11 grudnia udając się okrętem do Trelleborgu, a następnie koleją elektryczną do Sztokholmu. W Szwecji prócz meczu międzypaństwowego rozegrane zostanie jeszcze jedno spotkanie towarzyskie w jednym z większych miast Szwecji.

J. N.

WIARA W CZŁOWIEKA

(na marginesie P. Kropotkina „Pomocy wzajemnej“)

W dobie dzisiejszego kryzysu moralnego psychika ludzka, znużona okropnościami wojny i zdziczeniem mas ludzkich, zadając sobie pytanie, jak prędko ludzkość podniesie się z upadku moralnego? Czy i kiedy ziszczą się złote sny o wzajemnym zrozumieniu się i wzajemnej współpracy, o harmonii i ogólnym pokoju? Przed zmęczonymi umysłami stają wspomnienia bestialstw, tępienia plemion i narodów, cyniczne sposoby mordowania, tortur, wyniszczania. I wtedy mimowoli nasuwa się myśl, że losami rodzaju ludzkiego kieruje jedynie zasada walki o byt w swych najbardziej ponurych formach, że konieczność walki wszystkich z wszystkimi dyktuje ludziom ich niecne postępki, że rozgrzesza najpotworniejsze zbrodnie i daje świadectwo prawdzie, że homo homini lupus.

Dlatego właśnie za szczęśliwą myśl uważać należy wydanie przez spółdzielnię wydawniczą „Słowo“ wyczerpanego i rzadkość stanowiącego dzieła Piotra Kropotkina pt. „Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju“. Książka ta, napisana prawie przed półwieczem i dzisiaj jest wciąż ciekawa i aktualna, dzięki swym tezom, popartym sugestywnymi argumentami, nagromadzeniu licznych przykładów, wreszcie dzięki głębokiemu przemyśleniu i krytycznej analizie zjawisk, z których wyprowadzone są ostateczne wnioski.

Tezą główną omawianego dzieła jest istnienie prawa biologicznego, obejmującego zarówno ludzi, jak świat zwierzęcy, że obok najostrzejszych form walki o byt, wyraźnym czynnikiem rozwoju jest pomoc wzajemna. W świecie zwierzęcym autor nie zauważył nigdzie tych ostrych form walki o byt w obrębie jednego gatunku. Przeciwnie, właśnie w obrębie gromady jednogatunkowej występuje silny pęd do pomocy wzajemnej. Przykładów dostarczyły autorowi poczynione przez niego obserwacje świata zwierzęcego na bezkresnych przestrzeniach wschodniej Europy i Azji. A więc życie gromadne ptaków w rozlewiskach rzek i jezior, kolonie gryzoniów, wędrówki ptaków przelotnych, wędrówki stad reniferów i danieli nad Amurem, wreszcie wyniki badań współczesnych przyrodników nad życiem pszczół i mrówek.

Te spostrzeżenia i przykłady stanowią treść pierwszych części książki i one to pozwalają Kropotkinowi na uznanie pomocy wzajemnej za pierwszorzędny czynnik utrzymania życia, zachowania każdego gatunku oraz jego rozwoju. Dalej autor stwierdza, że ostrej walce o byt towarzyszy wszędzie obniżenie intensywności życia, i że gatunki lub ich części, zmuszone do walki, wychodzą zdziesiątkowane i osłabione.

Źródłem dążenia do wzajemnej pomocy jest wszechpotężny instynkt, a nie uczucie miłości lub współczucie. Sprowadzenie instynktu społecznego w świecie zwierzęcym do miłości i współczucia wiedzie ku ograniczeniu w ogóle jego znaczenia. Działa tu uczucie szersze, jakkolwiek może nieokreślone — uczucie czy instynkt ludzkiej **solidarności**, poczucie **łączności społecznej**.

Nie jest też człowiek wyjątkiem. Nie inaczej postępował człowiek pierwotny. Tu przechodzi autor do kreślenia obrazu pomocy wzajemnej wśród ludzi. Nie mają racji Hobbes i Huxley, którzy pierwotnego człowieka przedstawiają jako jednostkę, żyjącą w ciągłej walce, poza czasowymi i ograniczonymi stosunkami rodzinnymi.

Najpierwotniejsze formy współżycia (społeczeństwa, hordy, plemiona, a później rodziny, klany, rody) wskazują na to, że człowiek w najodleglejszych czasach, o jakich wie etnologia — żył towarzysko. Tu następuje przegląd form współżycia ludów pierwotnych i dzikich na podstawie zdobyczy ówczesnej wiedzy i osobistych obfitych spostrzeżeń autora. Kropotkin widzi wszędzie potwierdzenie swej tezy o istnieniu solidarności społecznej w obrębie każdej gromady ludzkiej. Wszędzie widzi rozwój gromady tam, gdzie instynkt ten był silny.

Pokłóconym i rozdartym, wiecznie walczącym pod rozkazami despotów wydaje się żywioł ludzki, będący już na wyższym poziomie cywilizacji. Są to jednak tylko pozory, wywołane przez dziejopisów, wyolbrzymiających dramatyczną stronę życia ludzkiego, wysuwających walki na czoło a pozostawiających prace pokojowe w mroku. Autor daje genezę wszelkich wspólnot, kolektywnych poczynań, na solidarności opartych praw i zwyczajów. Znajduje analogie w życiu szczepów, odległych od siebie o tysiące kilometrów. Niezwykle dodatnio, może nawet z przesadą kreśli ustrój miast średniowiecznych, przeprowadza ostrą krytykę państwa centralistycznego i jego hamującego a nawet niszczycielskiego wpływu na poczynania, oparte o pomoc wzajemną.

Okoliczność, że książka była napisana prawie przed półwieczem sprawiła, że rozdział traktujący o pomocy wzajemnej w naszych czasach, jest najmniej żywy. Od tego czasu nastąpiło tyle zmian, a najnowsze są tak doniosłe, że przed czynnikiem pomocy wzajemnej, o którego uznanie walczy autor, otwierają się nowe pola i nowe możliwości zastosowań. Stąd wypływa aktualność tej książki dla naszych czasów. Po przebudowie ustroju społecznego, po usunięciu kapitalizmu, gdy w społeczeństwie zanikać będzie potrzeba walki klas, idea pomocy wzajemnej zapanować winna powszechnie i ostatecznie.

Ta idea winna organizować życie nasze, organizować ludzkość na podstawie współpracy i współodpowiedzialności.

Dzieło swe kończy autor ujęciem myśli głównej w następujący sposób:

„Uważamy dzisiaj, że pobudką do czynów dodatnich winna być nie tylko miłość, posiadająca zawsze charakter osobisty lub w najlepszym razie rozciągająca się na plemię, lecz pobudką tą winno być uświadomienie sobie jedni ze wszystkimi istotami ludzkimi. W praktykowaniu zasady pomocy wzajemnej, która sięga najdalszych okresów ewolucji, odkrywamy rzeczywiste i niewątpliwe źródło naszych pojęć etycznych; stwierdzamy, że w etycznym rozwoju człowieka czynnikiem decydującym jest pomoc wzajemna, a nie walka“.

Piękna przedmowa dr. R. Jabłonowskiego, poprawny i jasny styl przekładu Jana Hempla, miła szata zewnętrzna i sumienna korekta podnoszą wartość wydawnictwa.

Stefan Pogorzelski

Jesień w Łazienkach

Gdybyś zagrał na skrzypcach i w skrzypcowe dźwięki
Zaklął uwiędłe liście, leżące na trawie,
Każda struna by rzekła: „Jesień i Łazienki
Są nierozłączne prawie“.
I jak do lat straconych — dojdziesz przez melodię
Do liści, które żółte na zielonej wodzie
Leżą i wieńczą sobą pałacu odbicie.
Tu muzyka została, stąd odeszło życie.
Stary faun bierze nimfę w gipsowe ramiona,
A w brodzie jego promień słoneczny, jak pszczoła,
Zaplątał się. W rzeźbione martwe winogrona
Czy jesień nalać soki już ostatnie zdoła?
Czy wskrzesisz mych przyjaciół zabitych na wojnie,
Muzyko, którą tylko — kto samotny — pojmie?
Odłóż skrzypce, bo zmarłych przywołują z dali.
Już ptaki odleciały,
Struny popękały,
Skrzypce, jak łódź rozbita, toną w stawu fali.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Leon Kruczkowski: KORDIAN I CHAM. Wydanie piąte. Spółdz. Wyd. „Czytelnik“. Str. 288.

Antoni Słonimski: WYBÓR POEZJI. Z portretem autora. Spółdz. Wyd. „Czytelnik“. Str. 198.

Ela Wachnowska Thun: ALARM DLA MIASTA WARSZAWY TRWA. Powieść. Gebethner i Wolf. Warszawa. Str. 640.

Stanisław Kasznica: ROZWAŻANIA. Wydanie szóste. Nakład Albertinum. Księg. Św. Wojciecha. Str. 295.

Wojciech Bąk: SYN ZIEMI. Wydawnictwo Wł. Bąka. Łódź — Warszawa. Str. 136.

P.T. Wydawcy, którzy by chcieli, żeby ich wydawnictwa były recenzjowane w „Tygodniu“, proszeni są o nadsyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego:

1. Ks. Józef Pastuszka: **Psychologiczne źródła niewiary.** Str 32.
2 Ks. Antoni Słomkowski: **Pochodzenie człowieka w świetle nauki Kościoła katolickiego i w świetle teorii ewolucji.** Str. 40.
3. Henryk Dembiński: **Dyplomacja i dyplomaci w nowoczesnym państwie.** Str. 28.
4. Stanisław Skorupka: **Zwroty i wyrażenia przenośne w języku potocznym.** Str. 22.
5. Jan Stanisław Łoś: **Sprawa agrarna w Rzymie II-go i I-go wieku przed Chrystusem.** Str. 24.
6.Leon Halban: **Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu.** Str. 42.
7. Jan Czekanowski: **Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje.** Str. 23.
8. Stefan Kawyn: **Zagadnienie grupy literackiej.** Str. 66.
9.Cezary Berezowski: **Organizacja narodów zjednoczonych.** Str. 32.
10. Czesław Strzeszewski: **Rehabilitacja ekonomiczna.** Str. 20.

KRONIKA KULTURALNA

„NOWE ATENY albo Academia wszelakiej scyencyej pełna, na różne tytuły jak na classes podzielona, mądrym dla memoryału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melankolikom dla rozrywki erygowana“ — taki tytuł nosiło wiekopomne dzieło ks. Benedykta Chmielowskiego, wydane w czasach saskich, czyli —jak je historia kultury polskiej określa—w czasach „mroku i zastoju“, „upadku i zdziczenia“. Zdaje się, że podobny zamiar powziął „Czytelnik“ w dzisiejszych czasach „upadku i zdziczenia“ powojennego, sądząc z prospektu wydawnictwa p. t. „Popularyzacja wiedzy“. Wydawnictwo będzie się składało z różnych „classes“, mianowicie — z 23-ch „działów“, każdy dział z kilkunastu „cyklów“, każdy cykl z kilkudziesięciu „zeszytów“, a każdy zeszyt poświęcony będzie jednemu „zagadnieniu“, np.: „Co wiemy o początkach życia na ziemi“, „Godzina dziejowa Słowian“, „Narodziny i klęska faszyzmu“, „Twórcy religij“, „Zwiedzamy fabryki“ — i tam dalej, w nieskończoność. 22-ch redaktorów i 160-ciu uczonych zostało powołanych do pracy nad wydawnictwem, a śród nich takie sławy naukowe, jak: asystent Jan Trzynadlowski, magister Witold Jurkiewicz, adiunkt Tadeusz Musiatowicz, doktór Janina Kapessowa — i tam dalej, których nazwiska ze wszystkimi tytułami prospekt wymienia, „przepraszając za omyłki, jakie mogły zajść w tytułach naukowych niektórych osób“. Jednak postęp jest: co zrobił dwieście lat temu jeden jezuita, na to dziś potrzeba doskonale zorganizowanego zespołu i olbrzymich kosztów.

NAJWIĘKSZYM synem Polski nazywa Kopernika piękne dzieło angielskie pt. „Copernicus and his World“ by Hermann Kesten — które w ciągu r. 1945 i 1946 miało dwa wydania angielskie i dwa amerykańskie, obecnie zaś znalazło się w sprzedaży u nas w kraju. Cena jego jest niestety wysoka — 1135 zł. Ale jest to gruby tom, liczący 410 stron, na znakomitym papierze, z ilustracjami i w solidnej płóciennej oprawie. Trudno sobie wyobrazić lepszą propagandę zagraniczną polskiej kultury. Wspaniale została odmalowana epokę Jagiellonów i renesansu polskiego, którą autor nazywa „pięknym okresem“ („a beatiful moment“) w rozwoju ducha polskiego, a którą poznał tak dokładnie, że wymienia nawet przydomek nadawany przez współczesnych Zygmuntowi II Augustowi — „King Tomorrow“ — „król dojutrek“. Ani jedna z nazw polskich, obficie przytaczanych, nie uległa w tekście angielskim zniekształceniu: „genial bishop“ Krzycki, Barbara, Sandomierz, Tomicki, Bernard Wapowski, profesor Kopernika z Krakowa — Brudzewski, Stanislaus Hosius, Gregor of Sanok itd.. nawet kochanki Zygmunta Augusta — Zajączkowska i Giżanka są wzmiankowane, z tym tylko, że czcionki angielskie nie mają znaków diakrytycznych polskich, a więc Zajączkowska drukowana jest „Zajaczkowska“ a Giżanka—„Gizanka“. Oczywista Toruń zawsze jest nazywany „Torun“, „the town of Torun“, nigdy — „Thorn“. Na wewnętrznej stronie okładki znajduje się śliczny widok Krakowa z czasów Kopernika, któremu stale przydawany jest epitet „the Polish astronomer“. A u nas przed wojną Wasiutyński stawiał pod znakiem zapytania polskość Kopernika.

„W ŻYCIU NAUKI“ (Nr 7—8) Ludwik Sawicki omawia te pozycje budżetu państwowego polskiego, które są przeznaczone na naukę i szkoły akademickie. Łącznie wszystkie te wydatki wynoszą 852.060.126 zł, co stanowi około 2,1% całości budżetu państwowego. Dwa procent! „Wymowa tej cyfry — pisze Sawicki — w zestawieniu z liczbą 7-miu uniwersytetów i 22 innych szkół akademickich, ze stanem organizacyjnym uniwersyteckich zakładów naukowych itp. jest tego rodzaju, że nie może nie budzić najwyższego niepokoju o najbliższą przyszłość naszej nauki“.

JEDNYM Z MIAST naszych, które szybko i sprawnie poczęło się odbudowywać, jest Poznań. Zachodzą obawy, że rozmach ten ulegnie zahamowaniu. Tadeusz Pasikowski w „Głosie Wielkopolskim“ (Nr 307) umieszcza alarmujący artykuł p.t. „Nie krzywdzić Poznania“. Ważne dziedziny gospodarki miejskiej Poznania, z których czerpano środki na odbudowę miasta, mają być upaństwowione — mianowicie: elektrownia i tramwaje. Elektrownia dawała miastu 30 milionów rocznie, nie licząc oświetlenia ulic. Po upaństwowieniu miasto otrzyma tylko około 10 milionów, przy czym będzie musiało płacić za oświetlenie ulic. Wobec powyższego myśli się nawet o zmniejszeniu oświetlenia ulicznego. Na tramwajach straci Poznań 24 miliony rocznie. „Zadaniem Państwa — kończy Pasikowski — jest kierować odbudową miast i wsi, starać się o zwiększenie jej tempa, ułatwiać, ale nie hamować. Poznań odbudowany będzie bardziej pożyteczny aniżeli Poznań leżący w gruzach“.

St. Łatka.

MODA POPRZEZ HISTORIĘ



Król Henryk VIII

O tym, co w modzie się przyjmuje nie decydują wszystkie kobiety tylko pewna klika, dostatecznie duża ,ażeby mogła być popularna, ale nie za wielka na to, by przestała być elitą.

Przed wiekami tę elitę stanowiły królowe, dziś gwiazdy filmowe, jako że królowych jest za mało — nie w sensie absolutnym, ale specjalnym, mianowicie na to — by mogły odegrać propagandową rolę w dziedzinie mody. Oczywiście nie tak rzecz się miała, gdy w każdym państewku była przynajmniej jedna królowa, a w pewnym królestwie zdarzyło się, że w ciągu jednego wieku było aż sześć królowych i cztery pretendentki do tronu, z których tylko jedna królową nie została. Nawiasem trzeba dodać, że spośród tych dziesięciu dam, czterem ścięto głowy, co niezmiernie przyśpieszyło tempo sukcesji. Królestwem tym była Anglia Henryka VIII z jego sześciu żonami, a potem następującymi pretendentkami: Marią Tudor, Elżbietą Tudor, nieszczęśliwą Lady Jane Grey i piękną Marią Stuart. Wydaje mi się, że jedną z przyczyn rozkwitu mody na dworze angielskim XVI wieku jest właśnie ta wielka ilość królowych. Bo jakkolwiek różniły się — mówiąc językiem współczesnym — światopoglądowo, cechował je wspólnie renesansowy kult dla piękna ciała i jego decorum.

Na początku swego panowania Queen Bess, która ustalała modę, nosiła małą krezę i chusteczkę dokoła szyi, czarny aksamitny płaszcz i suknię z bardzo szerokimi rękawami, o których współczesny satyryk mówi, że są „właściwe dla mężczyzny, ale kobiety noszą je bez zarumienienia się". W połowie swego panowania Elżbieta przyjmuje jednak ambasadorów już w sukni z białego jedwabiu, obszytej perłami wielkości grochu i w naszyjniku z bezcennych klejnotów, na co może sobie pozwolić, zważywszy, że czerpie dochody z wypraw kapitana Drake'a i innych awanturników, którzy byli trochę piratami.

Toteż nic dziwnego, że królowa z przyjemnością bierze odwet za te lata, kiedy — według relacji ówczesnego ambasadora weneckiego na dworze Marii Tudor — była ustawicznie w długach i nie mogła powiązać końca z końcem.

Nagły wzrost dobrobytu, w dużej mierze spowodowany zdobyczami kolonialnymi, przyczynił się w ogóle do ogromnego podniesienia stopy życiowej mieszkańców Anglii. Toteż satyrycy w rodzaju Mr. Stubbesa zaczęli rozpaczać, nie tyle z powodu wzrostu dobrobytu, ile szerzącego się luksusu. Doprawdy, że ze wzruszeniem czyta się słowa oburzenia na jedwabne pończochy, naturalnie sprowadzane z zagranicy (mianowicie z Italii), na pantofle na korku i przede wszystkim na krochmalone krezy, które według Mr. Stubbesa były dziełem szatana. W rzeczywistości były „dziełem pewnej Flamandki, nazwiskiem Van der Plasse, która zaprowadziła w Anglii używanie krochmalu. Oprócz krochmalonych krez wchodzą w modę również fiszbiny, które będą prześladowały kobiety przez parę wieków.

Według informacji Stubbesa elegantki za czasów królowej Elżbiety nosiły koszule z jedwabiu, aksamitu i tafty, często po 20 i 40 szylingów za yard. Naturalnie moda szalała także w dziedzinie kapeluszy. Mr. Stubbes krytykuje je w sposób niewybredny.

Dopełnieniem były wachlarze z piór, o rączce ze srebra, złota lub kości słoniowej.

Ale strój męski nie ustępował bynajmniej w świetności modzie kobiecej.

Mężczyźni nosili kolczyki, kosztowne spinki u kapeluszy i pierścionki, często na kciuku, jak to widzimy na portretach Henryka VIII.

Młodzi ludzie ściągali się w pasie, ażeby sztucznie zmniejszyć obwód talii; rękawy miezdobne w nacięcia i hafty, trzewiki na wysokich obcasach, kapelusze przybrane piórami; złote agrafy i guziki, wszystko to tworzyło wysoce kunsztowną aparycję młodego człowieka z epoki Renesansu.

Powoli też moda zaczyna się rozpowszechniać na niższe warstwy społeczne, tak że nawet wychodzą ustawy (w roku 1464) skazujące na grzywnę 20 marek za noszenie soboli, purpury i złota, poniżej godności lorda lub rycerza odznaczonego orderem podwiązki.

Kobiety z uboższych sfer mieszczańskich kupują teraz używane rzeczy u handlarzy starzyzną, (co przy ówczesnych warunkach sanitarnych, było rzeczą więcej jeszcze niż dziś niehigieniczną), byle tylko nosić suknie modnie uszyte.



Lady Jane Grey



Maria Tudor



Queen Bess



Maria Stuart

Spektakle, maskarady, pikniki wyprowadzają kobietę z domu na widok publiczny, co także nie mało się przyczynia do popularyzacji mody i wzajemnego licytowania się w strojach. Kobiety bywają również w gospodach, w których urządza się nawet prywatne przyjęcia. Takich gospód było w Londynie Tudorów bardzo wiele. Współczesny wierszopis informuje nas, że baronowie chodzili pod „Koronę", rycerze pod „Złote Runo", rolnicy do „Błazna". Lichwiarze do „Diabła" braciszkowie pod „Mniszki". Damy jadały pod „Piórami", myśliwi pod „Chartem" pijący u „Człowieka na Księżycu", marynarze pod „Starym Łabędziem", stręczyciele pod „Murzynem", ulicznice pod „Nagusem". Żeoracy pod „Skorupką od Jajka" rybacy pod „Delfinem", papieżnicy pod „Krzyżem" purytanie pod „Cynową Konewką" a prawdziwi kochankowie pod „Gołąbkiem".

Gospody były dla XVI wieku tym, czym kawiarnie dla wieku XVIII. Ale ponieważ damy za czasów królowej Elżbiety nosiły woalki, a według świadectwa współczesnego pana Emanuela van Meren, kobiety w Anglii cieszyły się dużą swobodą, należy przypuszczać, że gospody były również miejscem spotkań, które nie zawsze odbywały się według wyżej podanego szablonu.

Jadwiga Żylińska

Kobiety w spodniach

O naśladownictwie stroju męskiego przez kobiety niewątpliwie zdecydowały dwa momenty: 1-o przekora kobieca i chęć wyróżnienia się, 2-o praktyczność stroju.

Któż nie pamięta smukłej Marleny w białym smokingu z wyłogami ze srebrnej lamy fascynującej widzów w filmie „Blond-Wenus". Wiele kobiet zapragnęło naśladować Marlenę, odkrywszy w sobie czar zaklęty w chłopięcych liniach efeba. W ślad za modą na smokingi wkroczyły czarne cylinderki na rudych lub platynowych główkach. Połączenie elementów stroju męskiego i żeńskiego umiejętnie zastosowane wyjątkowo podkreśla sex-appeal. Oficjalnie spodnie nie były dotychczas dopuszczalnym strojem balowym ani wizytowym, wyłączywszy maskarady. Natomiast czarne kostiumy — smokingi wykończone białą kamizelką i czarną muszką są zawsze i wszędzie modne. Praktyczność stroju męskiego w pewnych okolicznościach zdecydowała o rozpowszechnieniu się tego ubioru niezależnie od typu urody i sylwetki kobiecej.

Opis modeli:

1. Czerwona bluza z cienkiego sukna, czarne długie spodnie narciarskie i zawadiacka czapeczka czerwona na czubku głowy.

2. Kraciasty sweter z długimi rękawami w kratę czerwoną, granatową i białą, granatowe krótkie spodnie, białe getry zapinane. Pod swetrem biała bluzeczka koszulowa z wykładanym kołnierzem, na głowie czerwone nauszniki, rękawice również czerwone.

Barbara Malanowicz

KUPON 14

Zagadka Nr 14 — 3 punkty

nazwisko i imię

adres

rozwiązanie

KĄCIK FILATELISTYCZNY



St. Zjednoczone—Nowy znaczek lotniczy o wartości 5 c (karminowy), przedstawia czteromotorową superfortecę.

Bułgaria — Na tle ogólnych dążeń do pokoju przykrym echem odbiło się wystąpienie tego państwa, byłego satelity „osi", które wydało serię, składającą się aż z 11 wartości, a poświęconą całkowicie różnym motywom wojennym.

Finlandia — Na fundusz przeciwgruźliczy wydano dwa znaczki: 5 + 1 mk i 8 + 2 mk.

Jugosławia — W dniu 1 września wydano serię znaczków pod hasłem: „Młodzież buduje szlak kolejowy Brcko — Banovici" o wartości: 0,50 + 0,50, 1,50 + 1, 250 + 2, 5 + 3 d. Na znaczkach widzimy młodzieńca z taczkami, a w tyle drugiego ze sztandarem państwowym i łopatą. Napis brzmi: „Kolej młodzieży". Napis jest każdorazowo w innym języku federacyjnej republiki, a więc w macedońskim i serbskim cyrylicą oraz słoweńskim i chorwackim alfabetem łacińskim.

ZSRR — Z okazji święta sportowego ukazał się znaczek o nominale 30 k ciemnozielony. Znaczek przedstawia sportowców, niosących w paradzie sztandary, a z boku w owalu generalissimusa Stalina.

Gibraltar — Dopiero obecnie otrzymaliśmy wzory znaczków, wydanych z okazji parady zwycięstwa w Londynie w dniu 8 czerwca 1946 r. dla Gibraltaru. Są to znaczki o nominale 1/2 d (zielony) i 3 d (ultramarynowy), przedstawiające króla na tle widoku Londynu wzdłuż Tamizy. (wo)

Reprodukowane znaczki otrzymaliśmy z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).



SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 150 ZŁ.

W ubiegłym tygodniu nagroda została podzielona. Po 50 zł otrzymali: Mieczysław Winkler (Spółdz. Wyd. „Czytelnik", Wrocław, ul. Kościuszki 51), Jan Bronisław Deny (Katowice, Drzymały 4) i Jerzy Maciejewski (Boernerowo k/Warszawy, ul. POW 18) za nadesłanie wycinków z „Przeglądu Sportowego" „Sportu" i „Dziennika Ludowego".

NOWY SPOSÓB SKRAPLANIA POWIETRZA

W drugim dniu zapasów bokserskich hala była dosłownie oblężona. Publiczność wyłamała drzwi. W hali znalazło się 5 tysięcy osób. Było tak gorąco, iż powietrze zaczęło się kroplić i woda kapała na ring ((„Przegląd Sportowy" Nr 62).

Dotychczas powietrze skraplało się przy bardzo niskiej temperaturze, mianowicie minus 140°. „Przegląd Sportowy" dokonał wiekopomnego — acz całkiem prostego — wynalazku. Zasługuje on tymbardziej na uwagę, że jego produktem ubocznym jest woda, w której można będzie topić wszelakich sprawozdawców.

WODA WYŻEJ

Niedzielny program rozgrywek piłkarskich przewiduje w Warszawie mecz Polonii z Wartą i w Łodzi AKS-u z ŁKS-em. Jeśliby AKS-owi powinęła się noga w Warszawie przy równoczesnym zwycięstwie Polonii, sprawa byłaby przesądzona. Nie wydaje nam się jednak, by Warta nie dała sobie rady w Łodzi („Przegląd Sportowy" Nr 65).

Nam się wydaje, że autora tej notatki należy utopić w owej wodzie, która się powyżej wyprodukowała.

JEDYNIE Z POWODU BRAKU

Szermierze rozpoczęli sezon. Sprawa sprzętu dzięki subwencji z PUWF i PW szczęśliwie ruszyła naprzód. Firma Kulmatycki rozpocznie niebawem produkcję sprzętu... Setki zgłoszonej młodzieży będą mogły wreszcie poświęcić się szermierce, a nie przyglądać się jedynie jak w zeszłym sezonie, w którym jedynie zawodnicy z powodu braku sprzętu mogli uprawiać szermierkę („Sport" Nr 100).

UCZYŁ BISKUP BISKUPA...

„British Council" zdobył gmach konserwatorium warszawskiego w sposób iście herkulesowy. „British Council" otrzymał nakaz kwaterunkowy na dom konserwatorium. Jak to się stało, to już kwestia władz administracyjnych... Panowie z „British Council" weszli do tego domu i rozkwaterowali się tam na dobre... Jak to zrozumieć i jak osądzić te ignorancje uczelni polskiej przez „British Council"? Naszem zdaniem ignorancja uczelni polskiej przez „British Council" jest obrazą dla kultury polskiej („Dziennik Ludowy" z dnia 17 listopada rb.).

Naszym natomiast zdaniem, iście herkulesowa ignorancja języka polskiego **PRZEZ** „Dziennik Ludowy" jest jeszcze większą obrazą **DLA** kultury polskiej.



Anegdoty historyczne

OSOBLIWA PROŚBA

Filip V Hiszpański (1700—1746) obiecał hojne wsparcie mieszkańcom Burgos, zrujnowanym zupełnie przez wojnę. Stawili się oni tłumnie u bram pałacu królewskiego, lecz straż przyboczna wpuściła ich dopiero pod warunkiem, że podzielą się z nią na połowę tym, co otrzymają.

Jeden z nich, imieniem Cardero, stanąwszy pierwszy przed obliczem monarchy, padł na kolana i zawołał:

— Najjaśniejszy panie! błagamy cię, daj rozkaz, aby każdemu z nas wyliczono sto kijów!

— Cóż to za dziwna prośba? — zapytał zdumiony król: co ona ma znaczyć?

— Znaczy to, najjaśniejszy panie, że twoi żołnierze chcą koniecznie wziąć połowę tego, co będzie nam przeznaczone.

Nie ma potrzeby dodawać, że straż królewska została przykładnie ukarana, mieszkańcy zaś Burgos, a zwłaszcza dowcipny Cardero — szczodrze obdarowani.

JESIENNA ZABAWA MASKARADOWA



Od wielu już lat Związek Artystów Francuskich posiada kilka domów, przeznaczonych dla artystów—emerytów, którzy bądź to wskutek podeszłego wieku bądź kalectwa, znajdują w nich spokojne locum i całkowite zaopatrzenie. Środki na ich utrzymanie czerpie Związek ze składek członków, subwencji państwa i ofiar społeczeństwa francuskiego.

Doroczna jesienna zabawa maskaradowa, organizowana przez Z. A. S. na rzecz artystów—emerytów odbyła się w roku bieżącym na wielkim welodromie zimowym i cieszyła się wielkim powodzeniem, tym bardziej, że wzięli w niej udział wybitni aktorzy paryskich teatrów.

S.A.P.



Zagadka Nr 14 — 3 punkty

ZAKOŃCZENIE WIELKIEGO KONKURSU FOTOGRAFICZNECO

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia"— zamieszczaliśmy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie ich polegało na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu załączonego kuponu.

Dziś podajemy czternastą zagadkę a zarazem ostatnią. Wszystkie wycięte i wypełnione kupony należy przesłać do redakcji „Tygodnia" najpóźniej do dnia 17 grudnia br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzyma pewną ilość punktów, (którą podawaliśmy przy każdej zagadce). Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie.

Podajemy raz jeszcze wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Wyniki konkursu podamy w numerze noworocznym. Polecamy zatem uwadze czytelników czternastą zagadkę umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 3 punkty)

Zagadka Nr 14

Uważny czytelnik „Tygodnia" widział już to zdjęcie w jednym z poprzednich numerów, toteż nie powinno ono nastręczać wielkich trudności w odgadnięciu. Jest to pozostałość po śmiertelnych wrogach na miejscu chwały oręża polskiego.

Od Administracji:

Ogłoszenia do numeru świątecznego przyjmuje Administracja do dnia 12 grudnia br. Numer świąteczny ukaże się w zwiększonej objętości i w większym nakładzie.



Baba gada . . .

DRUGI KONKURS „TYGODNIA" NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 17 ogłosiliśmy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Dziś podajemy siódme zadanie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia", Łódź, ulica Pomorska 37/1.





. . . a śnieg pada

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13 — 14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011160